

Stanisław Smolski



Urodziłem się 23 marca 1921 roku w Mińsku Litewskim. Rodzice moi, ojciec Jan, urodzony w 1888 roku i matka Maria z domu Zaniewska urodzona w 1888 roku, wywodzili się z rodzin czysto polskich, średnioziemiańskich, spod Mińska. Po zawarciu związku małżeńskiego w roku 1912 przenieśli się do swych posiadłości w Mińsku, gdzie ojciec w latach 1 wojny i rewolucji pracował na poczcie jako technik łączności, a matka zajmowała się domem oraz wychowaniem czworga dzieci. Najstarsza była siostra Bronisława urodzona w 1913 roku, następnie brat Kazimierz urodzony w 1914 roku, siostra Janina urodzona w 1915 roku i ja Stanisław urodzony w 1921 roku. Wszyscy urodzeni w Mińsku.

W latach 1919 - 1921 ojciec pracował w Polskiej Wojskowej Dyrekcji Telegrafów i Telefonów z siedzibą w Wilnie, a następnie w Mińsku Litewskim. Po zakończeniu działań wojennych w roku 1921 ojciec wraz z wycofującym się wojskiem polskim, w obawie przed represjami ze strony władz radzieckich wyjechał do niepodległej Polski, zamieszkał i pracował w Brześciu nad Bugiem. Matka żywiąc nadzieję na powrót Mińska do Polski pozostała wraz z dziećmi na miejscu. Dopiero w roku 1925, w czerwcu, korzystając z międzynarodowego traktatu o połączeniu rozbitych rodzin, przyjechała do Brześcia. W roku 1928 rodzina przeniosła się do powiatowego miasta Próżany w województwie poleskim.

Starsze siostry ukończyły osiem klas gimnazjum i zdały maturę. Ja przed 1939 rokiem zdażyłem ukończyć tzw. małą maturę. Brat Kazimierz ukończył średnią kolejową Szkołę Techniczną w Brześciu. Tam też odbył służbę wojskową, a następnie pracował na kolei w Wejherowie na Pomorzu. Brał udział w kampanii wrześniowej - walczył na Oksywiu. Po kapitulacji był internowany w obozie jenieckim, skąd udało mu się po kilku miesiącach

uciec do Warszawy. Całą okupację spędził w Warszawie pracując na kolei. Należał do AK.

Przez kilka dni po wkroczeniu Niemców do Polski chodziliśmy do szkoły, potem zostaliśmy umundurowani i uzbrojeni. Wraz z policją zajmowaliśmy się ochroną różnych obiektów (starostwo, urząd skarbowy, poczta). Kiedy zaczął się zbliżać front, rozpoczęto ewakuację urzędów. Razem z kilkoma kolegami odmówiłem wyjazdu z pracownikami starostwa i na własną rękę udaliśmy się na południe w kierunku Rumunii. Było nas pięciu: Mietek Golon, dwóch braci Korczaków i Tadek Michałowski, syn komendanta policji. W drodze dołączyli do nas jeszcze dwaj koledzy: Czesiek Za wadzki i Zdzisław Kowalczyk. Dojechaliśmy do Kamieńca Koszeckiego, kilka dni mieszkaliśmy u ciotki braci Korczaków. Spotkaliśmy w Kamieńcu byłego dowódcę 23 pułku Ułanów Wielkopolskich, ~~kt~~ płk. Koliszewskiego, który poinformował nas, że wojska radzieckie przekroczyły granicę Polski i radził wracać do domu. Kamieniec Koszycki przesiąknięty był polskimi komunistami, chłopci nie chcieli polskich pieniędzy za prowiant. W drodze powrotnej staraliśmy się podróżować z wycofującą się armią Klebberga. W Kobryniu, na rogatkach zostaliśmy zatrzymani przez miejscowych chłopów i poddani rewizji. W Kobryniu byli już Rosjanie. Zostaliśmy ponownie zatrzymani i ponownie poddani rewizji i przesłuchaniu. Rosjanie sprawili na nas przykre wrażenie - trudno się było z nimi porozumieć. Jednak po godzinie zostaliśmy zwolnieni.

Z Kobrynia do Próżan było 48 kilometrów. Jechaliśmy na rowerach, 10 kilometrów od Próżan^y na stacji Łęczyce zostaliśmy ponownie zatrzymani. Miejscowi chłopci rozpoznali nas, a zwłaszcza Mietka Golona (syna policjanta). Poddany został ścisłej rewizji. Okazało się, że zapomniał wyrzucić naboje do pistole-

tu. Został odprowadzony do aresztu, a nas zwolnili.

Przyjechaliśmy do Próżany 22 września. Wrażenie niesamowite, pełno wojska. Hłas od rana - od godziny piątej śpiewy i krzyki. Część żołnierzy spała w namiotach rozbitych na placach i w ogrodach. Palili ogniska. To była Armia Czerwona. NKWD przyszło dopiero pod koniec września i zaczęło organizować urzędy. Różniło się od wojska. Byli inaczej ~~wkzask~~ umundurowani - mieli wiśniowe otoki i niebieskie obszycie. Swoją robotę robili w nocy - wzywali na przesłuchania. Przy aresztowaniu nie mówili za co, dopiero jak zapadł wyrok. Ludzie siedzieli i nie wiedzieli za co.

Z Rosji przyjechała cała administracja. W urzędach obowiązywał język rosyjski. Miejscowa ludność źle znosiła mówienie po polsku.

Żydami były obsadzone wszystkie stanowiska. Przede wszystkim szkolnictwo, wydział zdrowia, handel, no i partia. Miejscowi Żydzi wydawali opinię - jeśli ktoś miał dobrą opinię, mógł spokojnie żyć, jeśli przetem miał zatargi z Żydami, to niestety aresztowali i wywozili - całe rodziny przesiedlali. Jeden z Żydów, nie był takim zajadłym komunistą, powiedział do mojego ojca: "No, panie Smolski, może pan być spokojny. Myśmy wydali o panu dobrą opinię".

Żydzi mówili po rosyjsku, ale wymowa i wygląd ich zdradzały. W Próżanach przed wojną mieszkało 12 tysięcy ludzi. Miejscowych Żydów bało 6 tysięcy. Jedną czwartą stanowili Białorusini i Rosjanie, jedną czwartą - Polacy. Byli bogaci Żydzi i skrajnie biedni. Bogaci Żydzi nie popierali tak Rosjan jak biedota, potem byli wywożeni na równi z Polakami.

Polacy byli raczej siłą roboczą. Kto znał język, ~~wka~~ mógł pracować w urzędzie, jeśli nie, był fizycznym pracownikiem. Polacy liczyli na to, że jest to okres przejściowy, że nie bę-

dzie długo trwało i Rosjanie opuszczają te tereny.

We wrześniu NKW D przygotowywało listy, były przesłuchania, aresztowano wiele osób i osadzono w więzieniach, a potem w obozach pracy. Natomiast rodziny tych aresztowanych zostały w 1940 roku wywiezione w głąb Rosji - do Kazachstanu, Archangielska, za Ural. Były trzy fale wywozek - ostatnia dzień przed wybuchem wojny radziecko-niemieckiej.

Jedną wywózkę przeżyłem we własnym domu. Mieliśmy dość duże mieszkanie - cztery pokoje. Przyjęliśmy na pokój panią Szafkową z synem Edwardem (była żoną komendanta POW) oraz samotną Eleonorę Długołęską (żonę byłego kapelmistrza orkiestry wojskowej 25 pułku Ułanów Wielkopolskich). W marcu 1940 roku przyszli w nocy, cywilni Rosjanie (miejscowi) i uzbrojeni enkawudyści. Po sprawdzeniu dokumentów kazali się w dwie godziny spakować i obie kobiety zabrali na stację kolejową Łęczyce, gdzie stały przygotowane do transportu wagony. Pozwolono im zabrać nie duży bagaż, a resztę - stwierdzono - dowiozą później samochodem na stację. Samochody co prawda przyjechały i odwiozły rzeczy, ale do NKWD. Tam rozdzielili je między sobą.

Rosjanie chętnie przyjeżdżali na nasze tereny - W Rosji stopa życiowa była niższa. U nas były prywatne gospodarstwa, jeszcze można było coś kupić. Ludzie pozbywali się rzeczy, żeby zdobyć pieniądze na życie. Ale Rosjanie raczej unikali kontaktów z miejscową ludnością - bali się podejrzeń o zdradę, o przekazywanie jakichś niewłaściwych informacji.

Na wybory musieli przyjść wszyscy. Ja też brałem udział, ale to była szopka nie wybory. Chociaż były kabiny, nikt do kabiny nie wchodził, bo od razu był notowny i potem wzywany do NKWD na wyjaśnienia. Wszyscy oddawali głosy automatycznie, Deputowani byli z góry ustaleniami - komuniści miejscowi i część przyjezdnych. Przed wyborami odbywały się mityngi - krytyko-

wano poprzednią władzę, a wychwalano władzę sowiecką. Obecność była obowiązkowa. Po wyborach ogłoszono włączenie Białorusi do ZSRR.

W Próżan^{ie}ie powstały trzy średnie szkoły: polska niepełna szkoła średnia, białoruska dziesięciolatka i szkoła żydowska. uczę szczałem do szkoły białoruskiej. Wykładali w niej starzy profesorowie Polacy. Językiem wykładowym był białoruski. W języku rosyjskim wykładano jedynie historię Rosji i partii, język rosyjski i białoruski. Historii Polski i geografii nie ucżono wcale. Jeśli ktoś miał kłopoty, można było odpowiadać w języku polskim. Do ~~gimnazjum~~ szkoły uczęszczali starzy koledzy z gimnazjum, część tylko Rosjan i dwóch Żydów z Mińska, których ojcowie pracowali w komitecie partii.

Poczynania Rosjan oburzały polską młodzież i budziły żądę odwetu. Skłaniały do nierozważnych działań. Byliśmy w wieku przedpoborowym i wiosną 1940 roku stanęliśmy do poboru. Każdy z nas dostał przydział do wojska, ale Polaków do wojska nie brali - przenosili do rezerwy. Koledzy wydali gazetkę - karykatury kolegów według przydziałów różnych broni^{do}. Dyrekcja szkoły miała duże nieprzyjemności, ale sprawa została zatuszowana.

Pewnego razu w białoruskiej dziesięciolatce grupa młodzieży wydrapała na portrecie oczy Stalinowi. Po przeprowadzonym śledztwie ujawniono sprawców i zamknięto to w więzieniu.

W polskiej szkole powstała organizacja harcerska, tajna. Po kilku miesiącach została wykryta. Czterech kolegów zostało aresztowanych wraz z profesorem Religą. Jednym z aresztowanych był Jurek Zimkowicz, dostał 5 lat. Profesor dostał 10 lat. Wszyscy odsiadali karę w więzieniu brzeskim. Organizacja skupiała około 30 osób. Zbierali informacje, broń, amunicję, opatrunki, żywność. Współpracowali z partyzantką polską.

Była też żeńska organizacja, wykryta tuż przed wybuchem wo-

jny radziecko-niemieckiej. Jedna koleżanka z tej organizacji straciła życie w obozie, druga przeżyła obóz a trzecia, która wydała organizację, żyje w Polsce. Nazywała się Janina Słomka. Wyszła za mąż za wojskowego Rosjanina i w dobrej wierze ujawniła mu swą przynależność do organizacji. Mąż ją natychmiast porzucił, oddając w ręce NKWD. Zaczęły się masowe aresztowania. Niemal cała siatka została zdekonspirowana. Osadzono w miejscowym więzieniu profesora Piotra Religę, profesora Edwar-
da Bazana, księdza Kazimierza Świątka i kilka harcerki i harcerzy, w tym sprawczynię pogromu. Ja nie zostałem ujawniony i nie poniosłem żadnych konsekwencji. Tajna organizacja harcerska zawiesiła swą działalność. Poszczególne aresztowania jednak trwały nadal, a 20 czerwca 1941 roku miała miejsce ostatnia ~~wyprawa~~ masowa deportacja. Dosłownie jeden dzień przed na padem Niemiec na sprzymierzonych dotąd z nimi Związek Radziecki. Znaczną liczbę mężczyzn a również kobiet NKWD ~~włączył~~ wyłączyło z już załadowanych wagonów towarowych na stacji Łęczyce i umieściło w próżzańskim więzieniu.

W nocy z 21 na 22 czerwca Niemcy przekroczyli graniczną rzekę Bug. O świcie zbombardowano dwa lotniska i wschodnią część miasta. Ja w tym czasie byłem jako poborowy na lotnisku. Na lotnisko wzięli nas około dwudziestu absolwentów i przedpoborowych. Zaiweźli wieczorem do lasu oddalonego od lotniska o 5 kilometrów. Tam przenocowaliśmy. Nad ranem wskazali nam kierunek lotniska i za cel ćwiczenia wyznaczono zdobycie go. Był z nami oficer rezerwy, Rosjanin. O świcie wyruszyliśmy w kierunku lotniska. Kilku kolegów weszło na drzewa, żeby zorientować się, co się ~~działo~~ tam dzieje. Mówią, że go nie zdobędziemy, bo tam pełno ludzi. Zaszliśmy na lotnisko od strony miasta, a nie od tej, z której mieliśmy nacierać - tam zostawiliśmy kilku wysokich kolegów, żeby skupić uwagę na nich. Potem pułkow-

nik, który ~~zorganizował wyprawę~~ dowodził, zorganizował odprawę. W czasie odprawy - stoimy, patrzymy, lecą samoloty, od strony wschodniej. Nie spodziewaliśmy się, że mogą to być samoloty niemieckie.

Zaczęli bombardować od strony lasu. I dziwnym trafem, z obu lotnisk pełnych samolotów, żaden się nie podniósł. Zbombardowali lotniska, zbombardowali wszystkie samoloty, przerwali namast nad nami. Nie mogliśmy nic zrobić - to był płaski teren - pokładliśmy się i leżeliśmy. Dostałem odłamkiem w nogę, ale nieszkodliwie. Jak Niemcy przelecieli, zaczęli bombardować drugie lotnisko na krańcach miasta. Zbombardowali szpital i pewnie chcieli zbombardować sztab lotniczy, ale zbombardowali kolejkę wojskową i dwa domy za stacją - dom sąsiada Janczewskiego i nasz dom.

Ruśzyliśmy w stronę miasta. Po drodze dowiedzieliśmy się o zniszczeniach. Dotarłem do domu. Było dużo rannych i około 20 zabitych, wśród nich sąsiad Janczewski. Z rodziny nikt nie odniósł obrażeń. Wszyscy byli w mieszkaniu i jeszcze spali, w przekonaniu, że są to ćwiczenia. Ale gdy się zaczęło wszystko walić na głowę, zrozumieli, że jest wojna. W obawie przed zawaleniem się domu opuścili mieszkanie.

Teraz rodzina ratowała dobytek. Zebrałem wszystkie rzeczy osobiste. Na strychu miałem zapas wódki. I schowany rewolwer, międy puła pem a pokrywą, w blaszanym pudełku, zakonserwowany, zalany parafiną. Musiałem go wywieźć i gdzieś schować. Ogród sąsiadów był zaorany, długo nie myśląc policzyłem słupki u płotu, i odwaliłem darń i tam schowałem. Po dwóch godzinach przyszedłem i już go nie było. Ktoś musiał podejrzeć i zabrać.

Jeszcze władza radziecka tego dnia była, dali nam mieszkanie - malutki domek po wywiezionych w przededniu Polakach. Nie wprowadziliśmy się tam wcale.

Nocą Rosjanie wysadzali magazyny z amunicją i niszczyli sprzęt wojskowy, zrywali zbiorniki z paliwem, zaminowali magazyn z bombami lotniczymi, lech wysadzić nie zdążyli - Niemcy już wkraczali do miasta. Rano już Rosjan nie było.

Więźniów, których Rosjanie nie zdążyli wywieźć, wypuściła ludność - rozbili nad ranem więzienie. Były w próżnackach dwa więzienia: czerwone i białe, jeszcze z czasów carskich. Czerwone było lżejsze, białe cięższe. Każde mogło pomieścić 50 więźniów. Wypuszczony został stary a ptekarz Kwapiszonek, moje szkolne koleżanki Ma rysia Czerniakówna i Zosia Lasoniówna. Z brzeskiego więzienia wrócił profesor Bazan wraz z trzema kolegami: Berezowskim, Zimkowiczem i Denikiem, aresztowanymi w 1940 roku.

Rano o świcie wkroczyły pierwsze oddziały frontowe wojsk niemieckich. Polacy w pierwszych dniach przyjęli Niemców z entuzjazmem. Byli zadowoleni, że w końcu pozbyli się Sowietów, ale nie wiedzieli, co w dalszym ciągu czeka nas ze strony Niemców.

Pamiętam tamrano 22 czerwca, kiedy ustało bombardowanie, wyszliśmy z kolegami na miasto i spotkaliśmy czołwarkę Niemców. Młodzi, na motocyklach. Przytąpili do nas - myśleli, że jesteśmy wojskowymi. ~~kazali~~ Ale potem wytłumaczyliśmy im, że nie jesteśmy ~~Rosjanami~~ Sowietami i nie jesteśmy wojskowymi. Kazali nam nie płatać się i wracać do domu, bo wkroczą główne oddziały Niemców.

Na drugi dzień komunistów, którzy nie zdołali uciec i którzy zostali wydani, bo zależli za skórę miejscowej ludności - Niemcy rozstrzelali. Chyba osiemnastu osób - byli to Białorusini i Żydzi.

Po wkroczeniu Niemców, po miesiącu, żywność się kończyła, sklepów nie było. Niemcy uruchomili jedynie piekarnię - wydawali chleb. Pieniądzy żadnych nie było - nie wiedzieli jakie. Zresztą władze wojskowe nie interesowały się tym. W lipcu przy-

jechała żandarmeria, administracja i zaczęli organizować urzędy.

Mnie się udało - zaczęli wszystkich spisywać i kazali podejmować pracę na miejscu, a jak nie podejmiesz, to ~~masz~~ będą wywozić do Niemiec na roboty - udało mi się urządzić w magistracie. Pracowałem początkowo w biurze wydawanie kartek żywnościowych. Potem jednak, ponieważ nam Polakom ~~nie ufali~~ jednak nie ufali, przyjechała Niemka i objęła ten urząd. Pod jej nadzorem były kartki. Ja natomiast przeszedłem do biura meldunkowego, tam pracowałem przez kilka miesięcy, a potem do biura gospodarczego.

Należałem do organizacji, zostałem nawet zaprzysiężony. Pamiętam datę, to było w moje imieniny 8 maja, kazał mi Rosołowski, że bym zgłosił się do Smolińskiego. Poszedłem, on przedstawił mi sprawę: - "Należałeś do harcerstwa, darzymy cię zaufaniem. Czy ~~chcesz~~ chcesz wstąpić do organizacji?" Złożyłem przysięgę i od tego czasu byłem żołnierzem ~~należałem do~~ AK.

System ~~był trójkowy~~ organizacji był trójkowy. W związku z tym, że pracowałem w magistracie, miałem możliwość wyrabiania rozmaitych przepustek: do getta, z miasta do miasta, nawet za granicę na Ukrainę, Białoruś, do Prus Wschodnich. Tak byliśmy zakonspirowani, że nie wiedziałem, że moja siostra i szwagier też są w AK. Często przynosiłem do domu gazetki - nie wiedziałem, że to mój szwagier przywozi je z Białegostoku.

Pracując w urzędzie gospodarczym, pewnego dnia spotkałem koleżankę, która opowiedziała mi o takim jednym z żandarmerii, który ciągle przychodzi i zagląda do kartoteki. Czegoś szuka, wypisuje, zapisuje. Mówię: "Jak przyjdzie, zawołaj mnie ~~xx~~, a ja podglądnę, co on tak zapisuje". Okazało się, że był już na tropie polskiej organizacji podziemnej. Wszystkich pomału wyszukiwał, zapisywał na listę. To nie był Niemiec: Ukrainiec. Ale ta sprawa

wa zakończyła się dobrze. Rosołowski pracował w sekretariacie - były mój nauczyciel - i był w mojej trójce. Mówię: "Co jest panie Rosołowski, taki tu przychodzi Michaluk i szuka po kartotece, jakieś nazwiska wypisuje" - wymieniam jakie. On mówi, że to poważna sprawa i że przekaże to do komendanta oddziału, Smolińskiego. "Już on będzie wiedział, co z tym zrobić." ✕

W żandarmerii też pracowali nasi ludzie, wojskowi podoficerowie, pochodzili z poznańskiego, znali język i pracowali jako tłumacze. Smoliński przejął tą sprawę Ratajczakowi - tak coś zrobili, że Niemcy tego Michaluka sami załatwili. Ale lista została u szefa.

Szefem żandarmerii był wtedy taki Niemiec poczciwy z Hamburga, z zawodu profesor gimnazjum. Znał język polski i starał się z nami rozmawiać po polsku. On pewno dostał tę listę, zainteresował się w czym rzecz, nie chciał robić świństw i schował ją do biurka. Po pewnym czasie przyszło mu do głowy pojednać się z partyzantami radzieckimi. Przebrał się w cywilne ubranie, wziął ze sobą Ratajczaka (tego tłumacza) i jeszcze jednego Prusaka i udał się na umówione miejsce na spotkanie. Chciał dojść do porozumienia: żeby oni mu nie przeszkadzali, a on ich nie będzie ścigał. Nikt nie wie, co i jak było - oni zginęli. Wyglądało na to, że tamci przy wycofywaniu się puścili serię z karabinu maszynowego i wszystkich położyli. ✕

Przyjechał następny szef, znalazł listę, ale w pierwszej chwili nie przywiązywał do tego wagi. Zainteresował się listą dopiero wtedy, gdy wykryli radiostację ze zrzutu. Listę przekazała Gestapo i Gestapo aresztowało ludzi. Całe dowództwo. Osadzili ich w więzieniu, a część - Rosołowskich, Baczyńskich, Góra, Pilujskich - całe rodziny wywieźli do Niemiec do obozów. Ci w obozach przetrwali, tylko starzy Baczyńscy nie przeżyli.

I tak dotrwaliśmy do czerwca 1944 roku. Front zaczął się zbliżać - Niemcy zaczęli się ewakuować. Pod pozorem tego, że chcemy wyjeżdżać do Niemiec, dostałem od burmistrza dwa konie i powózkę na ewakuację. Zaplanowaliśmy sobie, żeby na błotach, na takiej wysepce, przetrwać front. Ale trochę za późno wyruszyliśmy w drogę. Niemcy już zaczęli w panice uciekać. Widzimy, że to nie przelewki, że możemy razem z nimi być zaatakowani przez partyzantów - zawróciliśmy do miasta. Tam na obrzeżu, u znajomych, przetrwaliśmy front. Okazało się, że natarcie szło z tej strony miasta, gdzie myśmy się zatrzymali.

Kontakty partyzantki polskiej z partyzantką radziecką były raczej wrogie. Jak się spotykały oddziały, to walczyły, bo Rosjanie chcieli sobie podporządkować AK.

Niemcy, przy wycofywaniu się, spalili część miasta. Mieszkaliśmy wtedy przy czerwonym więzieniu, na takiej wysepce - nasz domek, a z tyłu żandarmeria, przez ulicę dom żołnierza, z jednego boku obóz koncentracyjny, z drugiego straż graniczna. Dom ocalał.

Po ponownym wkroczeniu wojsk radzieckich zdawaliśmy sobie sprawę, że nas zabiorą do wojska. Trzeba było się gdzieś urządzić, żeby mieć reklamację od wojska. Początkowo zaczepiłem się w Wojskowej Komendzie Uzupełnień. Tam długo nie popracowałem, ponieważ zaczęła się tworzyć administracja radziecka. Ojciec natomiast pracował na poczcie, a poczcie podlegał radiowęzeł. Przenieśliśmy się więc wraz z dwoma kolegami do radiowęzła i odbudowaliśmy go.

Mieliśmy aparat radiowy rozłożony na części i nasłuchiwaaliśmy stacji "Błyskawica" - wiadomości z Powiatu Warszawskiego. Radiowęzeł to było pomieszczenie studyjne z całą aparaturą - i to wszystko z części połączonych drucikami, take że nikomu

nie przychodziło do głowy, że tam jest dodatkowy aparat. Słuchaliśmy na słuchawkach, ~~jednocześnie~~ dwa aparaty były włączone jednocześnie - jeden na sieć do głośników na miasto, a drugi wewnątrz. Dwa razy chcieli nas na tym nakryć. Wiedzieli, że skądś przedostają się wiadomości z Powstania, przypuszczali, że stąd. I w nocy, tak niespodziewanie otwiera ją drzwi, druciki się odłączyło, weszli, odbiorniki grają - nic nie podpadło.

W czasie, kiedy pracowałem w radiowęźle, był pobór do wojska. Nie wiadomo do jakiego. Nikt nie wiedział, czy do rosyjskiego, czy do polskiego, ale wszyscy musieli się stawić. Komisja lekarska, jak ktoś miał ręce i nogi całe, uznawała, że zdrowy, szczegółowo nie badali. Ale był inny filtr - badali nas os strony politycznej. Ułowcy - już wtedy NKWD nie było, a powstały dwa ministerstwa: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego - NGB i NWD. I ten ubowiec tak trochę się nade mną zastanawiał, tak patrzył, wysłuchał mnie, co robiłem i dał reklamację od wojska. Nie przyznałem się oczywiście do przynależności do organizacji - zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jesteśmy ich wrogami, chcieliśmy przejąć władzę na tych terenach. Ale wiadomości przenikały, dużo mieli swych agentów - niektórzy pod przymusem, przymuszali ludzi do donoszenia.

[Po pewnym czasie ludzie z poboru byli wywożeni gdzieś w głąb Rosji i potem była selekcja - jednych do wojska polskiego a drugich do wojska radzieckiego. Niektórzy po miesiącu wrócili okaleczeni, a niektórzy po miesiącu już nie żyli - wysyłali Polaków i miejscowych na pierwszą linię.

Białorusini przejrzeni - w podczas pierwszej okupacji radzieckiej niektórzy byli tak czerwoni, że nawet ubierali się na czerwono. Potem, jak przejrzeni, krzyżem leżeli w cerkwi. Był taki

Kulesza, który najpierw nic nie dał sobie powiedzieć na władzę radziecką, a potem tak się odmienił, że został najgorliwszym wyznawcą wiary.

Żydzi wymigali się od wojska. Przede wszystkim mało ich zostało - część wróciła z partyzantki, część z Rosji, gdzie zdążyli uciec przed Niemcami. Niektórzy wstąpili do milicji. Ale część Żydów już wiedziała, co to jest "raj bolszewicki".

W radiowęźle pracowałem do września. We wrześniu przyjechał do ojca kolega z Mińska, Jezierski, jeszcze za czasów carskich razem pracowali. Organizował właśnie Urząd Telekomunikacji. Zatrudnił mnie w Brześciu w Urzędzie. Wykreślałem schematy linii telefonicznych. Przed Bożym Narodzeniem skontaktowałem się z domem. Po Nowym Roku rodzina miała jechać do Polski. Transportem, jako repatrianci. Zwolniłem się z pracy i przyjechałem na Święta do Próżan.

Gorączka wyjazdu opanowała wszystkich - odwiedzali jedni drugich, radzili się co robić, jechać czy nie. 29 grudnia poszedłem odwiedzić znajomych. Po godzinie dziesiątej wróciłem do domu. W domu mówią, że jakaś podejrzana sprawa: przyszło dwóch żołnierzy i jeden oficer, sprawdzali dokumenty. Jeden pokój wynajmowaliśmy wojskowym lotnikom. Ci próbowali się dowiedzieć, o co chodzi. Pogadali na boku i wynieśli się na noc z domu. ~~Exa~~ Położyłem się spać. O dwunastej obudzili nas wszystkich - jak doszło do mnie, dokumenty i kazali się zbierać. Gdybym z Brześcia nie wyjeżdżam może bym ocalał.

A jeszcze na święta przyjechał mój kolega szkolny, Zenon Karońko, wojskowy w randze kapitana, był w Armii Kościuszkowskiej i miał dokumenty wyrobione na cztery osoby, które mógł zabrać do Polski. I on mi mówi: "Nie chciałbyś skorzystać, wyjechać do Polski?". Ja chętnie bym skorzystał, ale sytuacja

w domu była taka, że nie bardzo mogłem. Siostra owdowiała, rodzice starzy, druga siostra u brata w Warszawie. Ja jeden byłem zdolny do dźwigania i pakowania tych ciężarów. Zresztą co to te parę dni...

Oficer, który przyszedł po mnie, przyszedł bez broni. Kazał mi się spakować i mówi: "Bierz swoje wszystkie rzeczy, bierz jak najwięcej, bo siedzieć nie będziesz". Ja rozumiałem, że albo mnie na roboty do jakiejś fabryki wojskowej wywiozą, albo gdzieś indziej, nie przypuszczałem, że do więzienia. Bo do więzienia, to by mnie wcześniej wzięli. Jak Rosjanie drugi raz wkroczyli na nasze ziemie, to wszystkich, do których coś mieli, którzy z Niemcami współpracowali, od razu w czerwcu aresztowali. A do mnie w ciągu tak długiego czasu nic nie mieli, tym bardziej, że pracowałem w urzędach, gdzie niektóre rzeczy były tajne, objęte tajemnicą.

Nie ja jeden byłem tego dnia aresztowany. Wzięli 30 osób z miasteczka. Tych, którzy byli niewygodni dla władzy sowieckiej i polskiej na czas utrwalania władzy sowieckiej w Polsce. Przeprowadzili mnie do budynku Urzędu Bezpieczeństwa. Widzę, że nikt mnie nie pilnuje. Wchodząc do budynku zauważyłem starszaka aptekarza na korytarzu, siedzącego z chłopakami. Po chwili przyprowadzeni zostali mąż i żona Wasilewscy i Zenek Karolko. Widziałem, jak Żyd, ubowiec zrywał Zenkowi odznaczenia i dystynkcje, wyzywał go. Mnie to mocno przerażyło - dlaczego żołnierza Armii Kościuszkowskiej pierwszy lepszy cywil tak może traktować. Przeskūchali go i odprowadzili prawdopodobnie do więzienia.

Ja natomiast chodziłem po korytarzu. W końcu pokazał się ten oficer, który zabierał mnie z domu. Mówię do niego: "Tak się spieszyłeś, szybko, szybko, a mogliśmy przecież jeszcze

w domu zostać. Wypilibyśmy po jednym, coś przekąsili". "A masz coś w domu?" - "Pewnie że mam. Inaczej bym nie proponował." Przyszliśmy w nocy do domu, oczywiście rodzice przerażeni, myśleli, że po kogoś jeszcze. Uspokoilem ich. Rodzice przygotowali przekąskę i wódkę. Wypiliśmy pół litra samogonu, pół litra jemu dałem i litr wziąłem ze sobą.

Przyszliśmy z powrotem. Nikt mnie nie pilnował. Rano ~~widziałem~~ zobaczyłem koleżankę idącą ulicą, wyszedłem do niej i spacerowałem po ulicy. Przez okno po pewnym czasie pokiwali na mnie, że mam wracać. Tak trwało do południa. Rano matka jeszcze przyniosła kaczkę.

Nie myślałem o tym, żeby uciec - zdawałem sobie sprawę, że jak ucieknę, to wezmą kogoś z rodziny. To był ich system i każdemu było wiadomo, że jak ktoś ucieknie, to ktoś z rodziny odpowiada. Tak samo jak strażnikowi ucieknie więzień - strażnik ~~odpowiada~~ odpowiada za więźnia i kara jaką tamten miał przechodzi na strażnika.

O godzinie trzeciej wyprowadzili nas z budynku NGB. Osiem osób. Podprowadzili do więzienia białego, tam dołączyli do nas jeszcze kilka osób. Przy czerwonym więzieniu wyszła do mnie rodzina. Rozmawialiśmy ze sobą. Był z nami taki Andrzejkowicz, spod Czereszowa, był wzięty z ulicy, jak stał. Kazałem przynieść mu jakieś rzeczy, kurtkę. Staliśmy tam z pół godziny. Wszystkich zebrali, sprawdzili i poprowadzili do Orańczyc - na stację. Czekał tam na nas wagon towarowy. Załadowali nas i podłączyli do pierwszego lepszego pociągu. O dziwo, zaczęli nas wieźć w kierunku zachodnim, do Brześcia. Przyszło nam do głowy, że wywożą nas do Polski. Na stacji w Grześciu wyładowali nas i przyprowadzili na dworzec. Tam też nas specjalnie nie pilnowali. Mogliśmy iść po wodę, do ubikacji. Tam mogłem też

uciec.

Po pewnym czasie sformowali nas, zaprowadzili do budynku ~~NKWD~~ NWD - Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, czyli milicji - a le tam miejsca dla nas nie było. Odprowadzili nas do więzienia. W więzieniu nas nie przyjęli - bo noc. Przetrzymani więc do rana w szopie i rano odstawili do więzienia. ~~Wła~~

Więzienie było tak przepełnione, że nie było miejsca, więc ulokowali nas w kaplicy. Znalazło się w niej około 80 osób, z całego powiatu brzeskiego. Nie wolno było podejść do okna, nie wolno było głośno rozmawiać, nie wolno było śpiewać. Jak głośno śpiewaliśmy, to strzelali do okien. Był wypadek, że jednemu z naszych kula przeszła rękę. Do jedzenia początkowo nic nam nie dawali, bo wiedzieli, że mamy ze sobą wyżywienie. Tylko trochę wody i wrzątku do picia. Nie wypuszczali nas ~~w~~ w ogóle, był kibiel, który opróżniano. Tam jeszcze nie było ciasno, można się było położyć na podłodze.

Po pewnym czasie rozlokowali nas po celach. Prycz nie było, można było tylko siedzieć. Zaczęliśmy dostawać posiłki, tylko raz dziennie, potem dwa razy. Zupę gotowano z nieobranej kartofli albo z brukwi, zaciągano jakimś tłuszczem, kawałek chleba i kawa. Najgorsza była wszawica. Polowaliśmy dwa razy dziennie na wszy. Rywalizowaliśmy, kto więcej zabije. Był między nami taki młody chłopak, piętnastoletni. wszyscy wszy łapali, a on jeden nie. On nic nie ma. Siedzący obok niego starszy człowiek mówi: "Zdejmij koszulę, nie wierzę tobie". Koszulka była strasznie brudna, przepocona, aż sztywna. Ale wszyscy mieli^x - wszy nie lubią brudu.

Nadal nie wiedzieliśmy, co z nami będzie. Dopiero jak nas wyprowadzili na korytarz, dowiedzieliśmy się od innych, że nas wywiozą ~~na~~ w głąb Rosji. Około 15 stycznia zostaliśmy wywie-

zieni. Od południa zaczęli nas wyprowadzać przed więzienie. Było zimno. Niektóre kobiety rozpaczały, że pozostawiły małe dzieci w domu. Jedna, Maria Kapelowa z Próżany, rozpaczała, że jak ją brali, zostawiła trzyletnie dziecko na ulicy, a mąż w wojsku. Pocieszałem ją. Podszedł do mnie major, ubowiec, nachylił się nade mną i półgłosem powiedział: "Teraz poznasz, co to jest sowiecki raj". Wyczułem z tego, że on tego raję miał dość.

Zgrupowali nas około dwóch tysięcy ludzi, czwórkami, otoczyli ubekami i poprowadzili przez ^{całe} miasto na stację. Pociąg był już przygotowany. Traf chciał, że stał tam też drugi pociąg, w stronę Polski. Jechali nim pierwsi repatrianci z Próżany. Chcieli nam dać trochę jedzenia, chcieli porozmawiać. Jednak nie zezwolono, nie dopuszczono nikogo. Odwieźli nas na bocznicę.

Nocą ruszyliśmy na wschód. Jechaliśmy z przerwami, bo pierwszeństwo miały pociągi wojskowe. W wagonie było od czterdziestu do pięćdziesięciu osób. Nie było mowy o leżeniu. Nic nie było prócz żelaznego piecyka i klozetu. Jak w wagonie towarowym są cztery okienka, to tylko jedno było na pół otwarte. Jedne drzwi tylko się otwierały, za drugimi była parasza. Z początku nie dostawaliśmy opału ani żadnego wyżywienia, ani nawet wody.

W Ba/ranowiczach podali nam wodę. Dojechaliśmy do Mińska. Pierwsza wysiadka, zaprowadzili nas do więzienia. Łaźnia, odwszawianie rzeczy. Do łaźni wszedłeś i już miałeś wychodzić. Taką paczkę szarego mydła na ręce maznęli, zimna woda, trochę twarz umyłeś, reszty nie zdążyłeś, bo już krzyczeli, że masz się ubierać. Znowu zakładowali nas do wagonów i za Mińskiem dali nam zupę. Potem raz dziennie posiłek i dwa razy woda. Jechaliśmy w kierunku Moskwy.

Pociąg na zewnątrz był oświetlony, po dwa reflektory na ka-

żdym wagonie, skierowane na tył pociągu. Z tyłu był mostek dla strażnika. Na każdym postoju ostukiwali wagony - walili drągami po wagonie. Badali, czy podszycie nie jest uszkodzone, żeby więźniowie nie mogli uciec.

Minęliśmy Moskwę. [↑] Mimo mrozu opanowała nas wszawica - byliśmy zmuszeni urządzić polowania. Wody dostawaliśmy mało. W czasie postoju nasi konwojenci podawali nam przez otwór w klozecie kulki śniegu. Ja doszedłem do wniosku, że można śnieg zgarniać z dachu. Rozbierałem piecyk, podnieśli mnie, ręką jak mogłem najdalej zgarniałem śnieg, który potem topiliśmy.

Był ze ~~mną~~ ~~z~~ mną w wagonie z Próżany Kwapiszak i jeden sołtys ze wsi Łomiany. S tary Kwapiszak miał 80 lat, był niedołą żny, musiałem się nim opiekować. Mało co jadł - przejmował się. Nie dojechał do Jarosławia - zmarł. Miał z sobą dość dużo bagażu - dwa futra, dużo bielizny, trochę okras. Stwierdzili w wagonie, że to nie może się dostać w ręce ubowców i ja mam to rozdzielić. Jedno futro zostawiłem sobie, kurtkę dałem komuś i drugie futro oddałem sołtysowi. Bieliznę rozdałem. W Jarosławiu zabierali ~~zmarłych~~ zmarłych, w naszym wagonie jeszcze jeden zmarł.

Opał zaczęli wydawać już za Mińskiem: dwa - trzy kloce drzewa. Ludzie potrafili to porąbać na drobne szczapy, w ten sposób, że jedno o drugie bili, potem o podłogę, aż ułupali, tak że można było palić tym w piecyku. Ale to nie starczało na cały czas. Zimno było strasznie. Podłogi były pokryte lodem, ściany szronem. Dawali na m za mało wody - byliśmy wycieńczeni. Starsi stracili nadzieję, że żywi dojadą do celu.

Jechaliśmy wciąż dalej. Następnym dłuższym postojem był Kotłas nad północną Dźwiną. Zaprowadzili nas do obozu - tam łaźnia. I dalej do Workuty.

Następna po Kotłasie była Pieczora. Staliśmy tam ponad dobę, ponieważ w niektórych wagonach wybuchł tyfus. Chorych umieścili w Piechorze w szpitalu. Reszta jechała dalej. Zaczęli rozładowywać transport - po jeden, dwa wagony w każdym obozie. Ja dojechałem na 50 kilometrów od Workuty - była druga połowa lutego. Wagony, gdy dotarły do celu, nie miały wewnętrznej poszyci, z braku opału zrywaliśmy poszycie i paliliśmy.

O świcie przyprowadzili nas do obozu. Na pierwszy rzut oka było to kilka budynków, baraków, bez ogrodzenia, bez wież. Był to nie wybudowany do końca obóz numer 1A. Stał w nim jeden barak - jeszcze zupełnie nie wykończony, bez dachu, tylko przykryty. Jedną trzecią część zamieszkiwali starzy więźniowie, którzy budowali ten barak. W środku obozu była kuchnia i mały budynek, gdzie było biuro - kantor obozowy. Natomiast na zewnątrz obozu był wybudowany jeden barak dla strażników, dwa magazyny - spożywczy i odzieżowy. Obóz był otoczony drutem kolczastym - płotu nie było widać, bo śnieg leżał na półtora metra. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nie wolno nam zbliżyć się do ogrodzenia. Ale strażnicy byli tolerancyjni dla nowiżuszy, tylko nas odganiali. Potem dowiedzieliśmy się, że nie wolno nam podchodzić, bo oni mają prawo strzelać.

Zamieszkaliśmy w nie dokończonym baraku. Były dwa okna, pośrodku dwustu - trzystulitrowa beczka po benzynie, z której zrobiony był piecyk. Podłoga była ułożona z ciosanych drągów. Prycze piętrowe. Na dolnych pryczach nie zajmowaliśmy miejsca, bo ciągnęło od podłogi i było zimno. Barak był przeznaczony na sto, sto pięćdziesiąt osób.

Przeszliśmy od razu chrzest obozowy - starzy więźniowie nas okradli. Przyszli tacy uprzejmi, pytali skąd jesteśmy, rozmowy. My zmarznięci, zadowoleni, że trochę ciepła, rozluźni-

liśmy się i wdaliśmy z nimi w pogawędkę, a w tym czasie drudzy, korzystając z tego, zabrali co lepsze rzeczy. U mnie wszystko poszło. Zgłosiłem to oczywiście strażnikom. Strażnicy pod pozorem rewizji - "Chodźmy, poszukamy, jak znajdziemy, to oddamy. Gdzie tam, oni mieli swoje schowki i swoich strażników, którym upłynniaли te rzeczy za machorkę. To była jedna sitwa. Nic nie znalazłem.

Dali nam ciunie i getry - ciunie to były takie kalosze ze starych opon samochodowych, a na bosą nogę zamiast skarpet czy onuc takie watowe skarpety. Jak były świeże, to były ciepłe. Przez cały pobyt w obozie chodziłem w tych ciuniach.

Jeść dostawaliśmy dwa razy dziennie. Rano zupełną kawę zbożową i pół racji chleba. Wieczorem drugie pół i kawałek solonej ryby. Dostawa liśmy porcje według wyrobionej normy. Ponieważ obóz znajdował się poza frontem, dostawaliśmy wyższe racje.

Pracowaliśmy tam przy robotach ziemnych, przy budowie odnogi kolejowej i przy modernizacji starego toru. Kuliśmy zamrażaną glinę, wyrównywaliśmy teren, robiliśmy wykopy, często przy użyciu dynamitu. Wszyscy więźniowie podzieleni byli na trzy kategorie. W zależności od kategorii trzeba było wypracować jakąś normę. Na pierwszą kategorię trzeba było wykopać jeden metr sześcienny gliny i wywieźć go w oznaczone miejsce. Zaliczenie do poszczególnych kategorii odbywało się na badaniu - kazali nam się rozbierać i sanitariusz chwycił za pośladek. Jeśli na pośladku było trochę ciała i ciało było jedme, no to pierwsza kategoria.

Pracowaliśmy od świtu do zmierzchu.

Miałem wciąż futro po aptekarzu. Więźniowie chcieli na mnie urządzić polowanie i zabrać mi futro. Kierownik robót i dyspozytor podeszli do mnie jednego wieczoru i mówią, że jeśli chcę żyć, muszę się pozbyć tego ubioru. Albo futro, albo śmierć. Po-

stanowiłem futro sprzedać. Doszedłem do wniosku, że najlepiej sprzedać je dyspozytorowi, bo on rozprowadza ludzi na roboty, będę miał wtedy szansę na lepszą pracę. Umówiłem się z nim, że da mi tyle a tyle machorki i chleba i urządzi mnie w kuchni jako pomoc kuchenną. Ale okazało się, że on mało miał na to wpływu - wpływ miał kierownik robót, który po kilku dniach po sprzedaży futra miał do mnie pretensje: "Gdybyś futro sprzedał mnie, miałbyś zapewnioną najłatwiejszą pracę". Kierownikiem robót był Polak, ale zamieszkały od dawna w Rosji. Siedział od dziesięć ciu lat.

Za futro dostałem też starą wojskową kurtkę - nie byłem z niej zadowolony, bo była trochę za duża. Sołtys też był ze swojego futra niezadowolony, bo było na niego za ciasne. Zamieniliśmy się. I znowu miałem futro.

Była w obozie pielęgniarka, chciałem, żeby odsprzedała mi kawałek papieru na list. Na to ona z uśmiechem: "Gdzie chcesz pisać - do Boga? Jak do Boga, to nie dojdzie, a jak gdzie indziej, to dojdzie do strażnicy, a tam do piecyka. Stąd żaden list nie wyjdzie.". Ale po pewnym czasie przyniosła papier. Kazała mi napisać list, tak żeby nikt nie widział, i oddać jej - ma znajomego maszynistę, który przewiezie list i wrzuci do skrzynki. Napisałem do znajomych do Próżany, dyrektor gimnazjum akurat wyjeżdżał do Polski i przesłał ten list do rodziny.

Na tym pierwszym oddziale byliśmy krótko - dwa tygodnie. Przerzucili mnie na oddział trzeci. To był stary obóz, prawdopodobnie z 1939 roku. Polacy budowali tam kolej do 1940 roku, do odejścia Armii Andersa.^{do} Ten obóz był bardzo rozbudowany, pięć nowych baraków i trzy ziemianki. Te były cieplejsze. wiatry wiały tak silne, że jak się wyszło z baraku, to w za-

mieci nie widać było własnej ręki. Między barakami były przeciągnięte sznury - należało się trzymać sznura, bo jak ktoś się odczepił od sznura, to ~~wraz z nim spadał i ginął na mrozie.~~ ręki błądził i ginął na mrozie.

W barakach były piece. Opału nie dawali. Każdy jak wracał z pracy musiał sobie przynieść opału. Wieczorem przemoknięte ciunnie i kurtki suszyły się na piecu. Powietrze nie do zniesienia. Nary gołe, bez sienników.

Rano, o świcie nas budzili. O godzinie piątej, w pół do szóstej, w zależności jaka była droga do wykonywanych robót. Przygotowywaliśmy teren do budowy mostu. Do pracy szliśmy cztery, pięć kilometrów. Długość była odmierzona na kroki, wiedzieliśmy od jakiego punktu ile kroków. W drodze nie wolno było wystąpić z szeregu - bez uprzedzenia strzelali. Przed strażnicą ustawiali nas, wyczytywali po nazwisku, potem liczyli, wyprowadzali poza strażnicę, tam przejmował nas strażnik i prowadził. Jeśli było kilka brygad, miejsce pracy otaczano kordonem. Brygada liczyła od piętnastu do dwudziestu osób.

Strażnikami byli ubowcy - dawne NKWD. Część strażników to byli więźniowie, jedni bez broni, a innym dawano broń. Pewnego razu było 35^o mrozu. Zostaliśmy w obozie. Przyszedł strażnik i pyta, kto pójdzie napiłkować drzewa, zgłosiłem się mając nadzieję, że dostanę miskę zupy. Napiłkowaliśmy drzewa strażnikom, wiedzieliśmy, że jedzą obiad - taki sam jak nasz. Co nas zaskoczyło - wylizywali miski. Dziwiło mnie, że cierpią głód jak my.

W oddziale trzecim byliśmy do końca maja. Któregoś dnia kazali nam się przygotować do transportu. Zostawili tylko tych, którzy byli sądzeni i Rosjan. Zaczęło to przebąkiwać, że Polaków mają przerzucić w jedno miejsce a potem do Polski. Pociągiem zawieźli nas do miejscowości Czium nad rzeką Usą. Tam było około

dwudziestu baraków i szpital. Było nas tam Polaków około 12 tysięcy - nie sądzonych, bez sądu, bez wyroku. Trzymano nas tam około miesiąca. W barakach była taka ciasnota, że na jednej przycy leżało trzech albo czterech.

Nie pracowaliśmy, wyżywienie dostawaliśmy lepsze. Zaczęli nam wyrabiać papiery na wyjazd do Polski. Wszyscy się niecierpliwi. Urządzano seanse spirytystyczne - za ile dni, kiedy wyjdziemy. Spotkałem tam z Próżany panią Włodzimierzową i jeszcze kilku znajomych z obozu. Odprawialiśmy modlitwy i śpiewaliśmy. Wszyscy byli szczęśliwi, że wracamy do Polski.

Do czerwca byłem w obozowym szpitalu. w tym czasie sporządzili nam dokumenty. Życiorysy, odciski palców - niektórzy mieli przesłuchania. Przewieziono mnie do miejscowości Juta, tam zakwaterowali i spisywali dane. Natomiast dochodzenia nie było. Nie oznajmiono nam również, o co jesteśmy oskarżeni. Odszedł pierwszy i drugi zestaw pociągów. Ja jechałem trzecim zestawem. Jecha liśmy dość długo. W Pieczorze zaczęli rozładowywać. Ja tra fiłem do obozu Potoka nad rzeką Potoką.

Był tam szpital dla gruźlików. My byliśmy brygadą gospodarczą. Da wali nam jesć dwa razy dziennie, ale mniejsze racje. Ra cje dostawało się według ilości chleba. Chleb i machorka były srodkiem płatniczym. No i rzeczy. Udało mi się raz, jeszcze na północy, sprzeda c sweter, strasznie zawoszony, za siedem puń dełek od zapałek machorki. To było strasznie dużo. Machorkę zamieniłem na chleb. Zupa była z chwastów - wysokie karczaczki kwitnące fioletowym kwiatem. Nam to nie wystarczało. Zrywaliśmy nać rzodkiewki. Gruźlików było około 10 tysięcy. Byli zamknięci. któregoś dnia rzodkiewka zginęła. Poprzedniego dnia wypuścili chorych z baraków, zjedli wszystko zielone.

Zaczęto przebąkiwać, że wywiozą nas do obozu pracy. Zacząłem

symulować chorobę, żeby trafić do szpitala. Codziennie chodziłem do szpitala, narzekałem na reumatyzm. Udało mi się. Byłem tam około dwu tygodni, ale nie mogłem wytrzymać. W obozie dostawaliśmy 600 gram chleba, a tu 300 gram. Moją chorobą był głód. Zacząłem nachodzić sanitariuszy, żeby mnie wypisali do jakiegoś obozu, żeby dostawać więcej jedzenia. W końcu jeden z nich obiecał mnie zapisać do transportu do gospodarstwa obozowego. Gospodarstwa obozowe uprawiały warzywa, ~~owoc~~ zboże, ziemniaki. Umieścili mnie tam. Przejściowo trafiłem do obozu, gdzie były same Litwinki. Było nas tam kilku mężczyzn. W mojej brygadzie byłem ja, brygadzysta i 30 Litwinek. Byłem tam dwa tygodnie. Okres żniw. Było też kilka Polek, jedna z Poznania. Dostawała regularne paczki z Polski. Mieszkaliśmy razem w baraku - w jednej połowie kobiety, w drugiej mężczyźni.

Stamtąd trafiłem do obozu Jerosiew. Tam kucharzem był Polak o nazwisku Smolski. Pytam go skąd jest, może rodzina. Okazało się, że nie, ale dolewkę zupy dostałem.

Potem wywieźli nas do Nieżożus, do właściwego majątku. Pośrodku między Workutą a Kotłasem znajdowała się osada Kniaźpowoście. Był tam zarząd obozu Północnej Kolei. Tam był obóz z prawdziwego zdarzenia. Dużo baraków, świetlica, sklepik żywnościowy. Baraki były zagospodarowane przyzwoicie: stoły, ławki, piece. Ponieważ byłem po szpitalu, zostałem przydzielony do brygady inwalidzkiej. Pracowałem sześć godzin. Wyprowadzano nas na pole do pielienia, obsypywania ziemniaków. Ten majątek zaopatrywał w warzywa wszystkie ~~owoc~~ obozy.

W sklepiku płaciło się pieniędzmi, jeśli ktoś je otrzymywał na konto. Wtedy już można było korespondować. Listy przychodziły. Jak później byłem na wyrębie lasu, też dostałem listy. I paczkę od znajomych dostałem. Nawiązałem kontakt z kolegą, który

przesłał ~~nam~~ mi 2000 rubli. Na tamte czasy to było dużo. Ale przez cały czas pobytu w obozie nie skorzystałem z tych pieniędzy, dopiero jak byłem na zesłaniu. Pieniądze wędrowały za mną z jednego obozu na drugi, a mnie przynosili co dwa tygodnie. W celu uniemożliwienia ucieczki z obozu przynosili więźniów z obozu do obozu i tasowali.

W obozie były kobiety i mężczyźni w osobnych barakach. Była też dentystka. Zamiast leczyć zęby, psuła, bo takie dziury wierciła, że się nie trzymały. Mnie też kilka zębów wykończyła, ale ta k mi dokuczały, że chodziłem do niej.

Z kobietami spotykaliśmy się w pracy, do baraków nie wolno było wchodzić. Ale pary się tworzyły. Przeważnie kobiety, które były zdrowe i brygadziści. ~~Był tam przeraźliwy~~

Przez miesiąc byłem w brygadzie inwalidzkiej. Czasem udało się przynieść z pola kilka ziemniaków - jak złapali strażnicy, dostawało się trzy dni ścisłego. W ~~więzieniu~~ obozie było więzienie - dawano tam 300 gram chleba i wodę. Raz też dostałem się do więzienia. Spotkałem kolegę, Wągra Szabo, chciał, żeby mu przynieść ziemniaki. Zaryzykowałem. Dopadła mnie konwojentka, Żydówka i dostałem trzy dni ścisłego. Do więzienia przyprowadzali po pracy, na noc.

Wszyscy nas opuściły - weszli lubi czystość i krew do picia. Byliśmy zbyt wycieńczeni, żeby się nas trzymały. Za to dokuczały nam pluskwy. W barakach było ich mnóstwo - wielkie jak małe osy, cały strop był czerwony. Zaczęli się więźniowie skarżyć. Zarządzili odpluskwianie. Polegało to na tym, że ewakuowano cały obóz, uszczelniono baraki i przez trzy dni palono w nich siarkę.

Ewakuowano nas do odległego o 3 kilometry obozu dla psychicznie chorych. Lekarką była tam Polka, Malinowska - była więźniarka, dobrze ustosunkowana do więźniów. Z chorymi w obozie nie

mieliśmy kontaktu. Byliśmy tam tylko ~~na~~ przez czas dezynfekcji obozu.

Obóz dla psy chciwnie chorych zbudowany był z wysokich bali. Wewnątrz wszystko było przymocowane na stałe. Baraki wysokie na cztery, pięć metrów miały pod sufitem małe okienka. Sprawiały bardzo przygnębiające wrażenie. Po miesiącu przeszedłem do bryga dy, gdzie pracowałem osiem godzin. Potem przydzielili nas do punktu rehabilitacyjnego, gdzie mieliśmy dojsć do sił. Tam właśnie spotkałem więźnia, recydywistę, który przebywał w obozie dla psychiczniechorych przez trzy lata. Opowiadał, jak tam trafił. Jednego dnia zaczął symulować - zaniemówił. Szczuli na niego psy, ale się nie zdradził. Siedział tam, bo chorzy więźniowie nie jedli i mógł mieć mnóstwo jedzenia. Mówił, że mało się zajmowano chorymi, bardzo agresywnym podawano środki uspokajające.

Kiedyś dostałem paczkę i on przyszedł i mówi, że jego się boją, więc jeśli wejde z nim w spółkę, to nie ukradną mi paczki. Razem ją zjemy i razem skorzystamy. Ja dostarczam okrasę, a on warzywa. Więźniowie uprzywilejowani nie zabierali paczek siłą, ale kradli nocą. Prawo obozowe zezwalało na kradzież wszystkiego prócz chleba. Kto tknął chleb, ten wydał na siebie wyrok śmierci - został zabity przez grupę więźniów. Chleb to była podtawa życia.

Na punkcie rehabilitacyjnym byłem przez miesiąc. Była opieka lekarska, codziennie nas ważono. Chodziliśmy do pracy na sześć godzin. Norma żywności była większa. Mieliśmy dostęp do magazynów żywnościowych. Zawsze coś można było skombinować. Magazynierem był Żyd - nie chciał przymknąć oczu na wynoszenie przez nas żywności. Kiedyś przyszedł pociąg - kilka wagonów do załadunku ziemniaków. Zeby dokuczyć magazynierowi załadowaliśmy bez wagi ponad pięć ton.

Po miesiącu, w październiku, przyjechali po nabór do pracy.

Komisja przydzieliła mi drugą kategorię. Pojechałem na 21 oddział do lasu. Praca przy wyrębie. Po przyjeździe przeszkolili nas jak mamy zachowywać się w lesie podczas wyrębu i jak posługiwać się narzędziami. Były to ręczne piły, tzw. łuczki. Długie piły używało się w wypadku, gdy drzewa były bardzo grube. Gdy wychodziliśmy poza strażnicę, dostawaliśmy piłę i siekierę. Do wyrębu szliśmy pięć do dziesięciu kilometrów. Najgorsze były wysokie śniegi, każdego dnia musieliśmy przecierać trasę. W brygada pracowało od dziesięciu do piętnastu osób. Brygady do pracy prowadzone były osobno, ale do jednego miejsca wyrębu, otoczonego kordonem strażników. W obrębie kordonu mogliśmy się poruszać swobodnie. Przeważnie pracowaliśmy parami. Należało odkopać całkowicie śnieg i pozostawić pieńek nie wyższy niż 10 cm. Najgorsze było to odkopywanie śniegu - samo ściecie nie było tak ciężkie. Po ścieciu drzewa należało odrąbać gałęzie, wyciągnąć drzewo z głębokiego śniegu, w którą wpadło i zaklasyfikować odpowiednio - czy to na podkłady, czy przemysłowe jest, czy na opał. Las się wycinało całkowicie. Nic się nie zostawiało. Jeżeli drzewa były cienkie, wycinalismy je siekierami.

Znowu w zależności od kategorii należało wyrobić normę. Pierwsza kategoria miała najwięcej - 3 m³ drzewa dziennie, pozostałe kategorie mniej. Za te trzy kubiki dostawało się 600 gram^e chleba. Powyżej trzech kubików więcej. Nie wiem, jaki mieli sposoby obliczania, ale więcej jak 900 gram nikt nie dostawał.

Starzy więźniowie, którzy byli brygadzystami albo kierownikami robót, zawyżali normy. Potem przypisywali je sobie i tym, którzy zostawali w obozie. To byli tacy, którzy w ogóle na robotę nie wychodzili - tzw. prydurki, uprzywilejowani. Oni właściwie zarządzili obozem, a nie obóz nimi. Robili, co chcieli. Stra-

źnicy nie włączali się, chyba że jakaś bijatyka była.

Wyżywienie: rano zupka, kawałek ryby i część racji chleba, a po południu druga. Chleb był podstawą bytu. Zupy były z bruki lub rzepy, rzadkie jak woda. Trzymał nas chleb. Chleb był przetrwaniem w obozie. Dzielił go brygadzysta. Brygadzysta otrzymywał chleb z rozdzielni, gdzie pracował zaufany więzień i on kroił. Miał taką wprawę, że kroił chleb bez dowożenia. Głód robił oko takie dokładne, że potrafiliśmy określić brak trzech, czterech gram chleba. Braki kwestionowaliśmy - brygadzysta szedł wtedy z tobą na "chlebiczek". A le najwięcej kłótni i obrazy na brygadzystę było, jeśli ktoś dostawał środek bez skórki. Każdy zdawał sobie sprawę, że kromka ma więcej wartości, tym bardziej, że chleb był pieczony w formach i w środku było dużo wody.. Nie zawsze był chleb z żytniej mąki, z pszennej w ogóle nie było, czasem dodawali jęczmienną, kukurydzę, czasem owies. Zdarzało się w chlebie groch. Różne były chleby.

Chleb tak się ceniło, że wieczorem po zakończeniu jedzenia kła dło się na pryczę chleb, cienutko się kroiło ⁱ na takie małe kawałki jadło się, żeby jak najdłużej starczyło. Kartofli tam żeśmy nie widzieli. Były czasami zupy z kartofli, ale z suszonych. Była też kasza manna, proso, jęczmienna. Kaszę manną gotowano na gęsto i krojono w kosteczki 5x5x2 cm i taki kawałeczek się dostawało.

Poprzednie obozy nie były takie, ale w obozach takich jak kamieniołomy czy wyrąb lasu same szumowiny się zbierały. Ale chleb był nietykalny. Jeśli ktoś ukradł chleb i go złapali, to zabijali. Inne rzeczy zabierali, kradli bez litości - chleba nikt nie ruszył. Natomiast suchary z paczki - tak. Jak się pridurki dowiedziały, że ktoś dostał paczkę, wychodzili pod strażnicę, zdą-

żył tylko ze strażnicy wyjść, to mu paczkę zabrali, jedli na jego oczach, do tego stopnia, że z takiej paczki ani kęsa nie dali.

Przysługiwał nam cukier, ale go nie dawali. ^IJednego dnia dostaliśmy po kilogramie cukru. Cukier był żółty, ale słodki. Co robić z tym cukrem? Położysz się, zaśniesz, to ci ukradną. Doszedłem do wniosku, że najlepiej ~~zjeść~~ skonsumować. No i zjadłem. Przyniosłem wiadro wody, popijałem, leżałem na narch i pomału jadłem. Gdy się rano obudziłem, w ogóle nie mogłem oczu otworzyć, nogi grube jak brewiona. A ni obuć tych ciuni, ani nic. Kierownik robót, brygadzysta naskoczyli na mnie, że specjalnie to zrobiłem. Tłumaczyłem, że w obawie przed kradzieżą musiałem zjeść. Trzy dni, póki opuchlizna nie spadła przesiedziałem w baraku. Pracowali z nami wozacy, którzy zwozili drzewo na stację. Ci, ja k konie się pasły, to je płoszyli, żeby pod pociąg wpadły - było mięso dla kuchni. Jednego razu dostałem porcję końskiej wargi.

Kiedys zostaliśmy w obozie, bo był mróz. Był taki jeden złodziejaszek, wszystkich okradał. Tego dnia poszedł do kuchni i znalazł flaki. Każdemu rozdał i mówi: "Prędko gotujcie". Ugotowa liśmy flaki w puszkach do konserw. Zjedni liśmy. Potem szukali, a le nie znaleźli.

Ludzie jedli, co się dało, nawet niektórzy szczury łapali, ~~on~~ opiekali i jedli. Szczerzuje z rzeki, wszystko. Jak rybę się dostało, to jadło się ze wszystkim, z głową i z ościami.

Obóz rządził się swoim wewnętrznym prawem. Było to prawo silniejszego. Chodziło o przeżycie. Niektórzy szli po trupach. Uprzywilejowani to byli głównie recydywiści, mordercy, wyrzutki społeczeństwa. Polityczni byli spokojni. Tamci, jeśli się ktoś nie podporządkował, to okaleczali albo mordowali. Dostawali za

to nowy wyrok, ale więcej jak 25 lat nie mógł dostać. Jak miał jeden wyrok 25, drugi 25, to uważał, że obóz to jego dom rodzinny, z obozu już nie wyjdzie.

Był wypadek w jednym obozie, że grali w karty, gdy już nie mieli o co grać, do banku postawili żonę komentanta obozu, która była magazynierką na magazynie spożywczym. Kucharz przegrał i po kilku dniach, przy odbieraniu posiłku, zabił ją siekierą. Gdyby wyroku nie wykonał, to on by zginął.

Jeśli ktoś komuś zalazł za skórę, to przeważnie mordowali na robocie pod pozorem, że drzewo się zważyło. Mordowali kierowników robót, brygadzystów - kto im tylko na drodze stanął.

Po trzytygodniowym przeszkoleniu w obozie 21 naszą brygadę skierowano na oddział 9, gdzie ładowano drzewo na platforme. Do pracy na przystanek kolejowy nie było daleko - 3 kilometry. Ładowaliśmy sposobem prymitywnym. W cztery osoby - dwie z jednej, dwie z drugiej - wciągaliśmy drzewo sznurami na platformę.

Jak przenowiliśmy drzewo do obozu, to musieliśmy je jeszcze przed strażnicą odpowiednio pociąć i rozbić na kawałki, bo wewnątrz obozu nie wolno było mieć żadnej piły, noża, nawet igły.. Od czasu do czasu strażnicy robili przegląd i szukali takich niebezpiecznych narzędzi. Co ciekawe - soli też nam wolno było mieć. Bo gdy człowiek jadł dużo soli, to puchł i stawał się niezdlony do pracy.

Przy pracy było sporo wypadków. Ludzie niedoświadczeni, nie umieli tego robić. Drzewo na drzewo puścili, ten ścinał tu, ten tam, potem drzewo na drzewo padało. niektóre słabsze drzewa nie wytrzymały i pod naporem tych grubych łamały się. W naszej brygadzie dwóch ^{ta k} zginęło. Sołtys spod Próżany tak zginął - dostał w głowę gałęziami.

Chowano poza terenem obozu. Były cmentarze. Potem je nawet wi-

działem, oglądałem je, gdy byłem już na zsyłce. Normalnie bielizny się nie miało, bo była tak zawszawiona, że jedne strzępy. A jak chowali trupa, to bieliznę wydawali i w bieliźnie chowali. Do wielkiego palca u nogi przywiązywali deszczólkę, na której był numer. Ten sam numer umieszczali na paliku, który wbijali na grobie. Ale my nie znaleźliśmy swoich numerów. Jak nas sprawdzali, to po nazwisku, my podawaliśmy datę urodzenia i imiona rodziców. Gdy wracaliśmy, nazwisk już nie sprawdzali, tylko liczyli ilość - chyba że ktoś się zapodział, wtedy wszystkich ustawiali na placu i przeliczali, i nazwiska sprawdzali, czy ktoś jeszcze nie uciekł.

Strażnicy nie byli tacy zli. Obchodziło ich tylko, żeby wszystkich z powrotem do obozu przeprowadzić. Nie podchodzili bliżej jak na odległość 15 metrów. Bali się, żeby mu broni nie zabrali. Niektórzy byli porządni. Jak ładowaliśmy drzewo na platformy, ile było podstawionych platform, tyle musieliśmy załadować. Czasami nie mogliśmy się zmieścić w czasie. I był taki jeden strażnik, który 20 metrów dalej zostawiał ~~broni~~ karabin i przychodził nam pomału. Bo jemu też zależało, żeby szybciej wrócić do domu. Z rodzinami mieszkali rzadko - przeważnie byli to bardzo młodzi ludzie.

W rozmowę z nami specjalnie się nie wdawali, nie pytali o nic. Ci którzy palili, czasami prosili strażnika, żeby zostawił trochę popalic. Z paleniem w ogóle było okropnie. Ludzie odmawiali sobie chleba, żeby za chleb kupić sobie trochę tytoniu "koroszeki". Potem, jak gdzieś gazetę dostali, to w tym palili.

Handel był wymienny - za chleb i machorkę. Obozowe zapasy uzupełniali świeżi - co miesiąc, dwa przychodził wagon. Starzy więźniowie starali się tych nowych okraść. Byli tacy, którzy mieli przepustki - brygadziści, kierownicy robót wychodzili na zewnątrz

i tam sprzedawali różne rzeczy - za chleb i tytoń.

Długo się pracą przy załadunku nie cieszyłem. Przez nieuwagę jedni puścili sznur, drzewo uderzyło o ziemię, a drugi koniec myśmy trzy mali. Uszkodziło mi kręgosłup. Nie mogłem chodzić. zostawili mnie w baraku. Nie dostałem zwolnienia, ale byłem na baraku. Zostałem stróżem. Do obowiązków stróża należało codzienne mycie podłogi, noszenie wody, drzewa i palenie w piecu przez całą dobę. Piece były stałe, murowane. W drzewo musieli zaopatrywać więźniowie - każdy wracając z pracy musiał przynieść kawałek drzewa na plecach.

Początkowo ucieszyłem się, że nie będę musiał ~~zika~~ ciężko pracować. Ale okazało się, że ta praca była o wiele cięższa niż przy wyrębie. Gdy chciałem wyszorować podłogę, wylewałem wodę a w woda pokrywała się lodem. Potem doszedłem do wniosku, że nie ma sensu jej szorować. W nosiłem tylko śnieg, żeby były ślady, że mokro. Trwało to trzy tygodnie.

Wodę braliśmy ze studnie, przy każdym baraku był żuraw. Ubikacje były na zewnątrz, bardzo prymitywne, mało kto z nich korzystał. Chodziło się za barak. Łaźnia była w planie co tydzień. A le mało co się z niej korzystało. Szybko wyganiali, każdy chciał jak najszybciej wrócić do baraku i położyć się.

Mojej kontuzji kręgosłupa ~~nikt~~ nikt nie leczył. Jedyne lekarstwa funkcjonujące w obozie to przy skaleczeniu opatrunek i aspiryna na przeziębienie. A tak to wolne - jeden, dwa dni. Ja miałem szczęście. Jakoś tak się składało, że na Wielkanoc, Boże Narodzenie zawsze się wykręciłem od pracy. Kiedyś już na portierni stałem, myślę, dzisiaj takie święto, Wielkanoc, a tu do roboty człowiek idzie. Spróbuję, może mi się uda zostać. Melduję więc, że źle się bardzo czuję, że mam gorączkę, że mi zimno. Cudem ja kimś mnie odstawili i dwa dni byłem w obozie. Potem znowu

kiedys, w następane święto też jakoś się udało, tak że w te duże święta nie pracowałem.

Niedziel nie mieliśmy wolnych. Wolny dzień był, gdy był za duży mróz albo jak warunki atmosferyczne nie pozwalały, żeby wyjść z obozu. Pracowaliśmy przez cały tydzień. i właściwie nie było określonych godzin pracy. W zasadzie powinno być 8 godzin, a le ~~nikt~~ nikt tego nie przestrzegał. No i ta droga do pracy i z powrotem. Czasami nim nas zebraли w lesie, to staliśmy na mrozie w lesie dwie godziny. Na wyrębie pozwalali palić ogniska, w zasadzie musieliśmy je palić, żeby spalić gałęzie - inaczej brygada dzista nie przyjął roboty. Czasem bardzo długo czekaliśmy aż wszystkie brygady się zbiorą. Niektórzy tak z sił opadali, że nie mogli iść, inni pomagali, brali pod ramiona i tak prowadzili. Był taki wypadek, że nie mogli dać rady, to strażnik przestrzeilił mu nogi, żeby nas odprowadzić i dopiero wrócili po niego. Obawiali się, żeby wszyscy nie zamarзли, a jednocześnie tamten mógł symulować chorobę i uciec.

Straciliśmy rachubę czasu, nie wiedzieliśmy, jaki jest dzień. W zimie prawie na okrągło jest noc. Pamiętam kiedyś na Boże Narodzenie miałem ~~ziemiaki~~ skądś około 20 rubli. Kupiłem sobie ziemniaki i uczciłem te święta ziemniakami. Jak kucharzami byli Gruzini, to w takie święta starali się zawsze jakąś lepszą potrawę ugotować. Jednak byli wierzący, zwłaszcza Gruzini.

Jedynymi dniami wolnymi z zasady był 1 maja i rocznica rewolucji październikowej. Nie było żadnych obchodów - kto je miał organizować. Byliśmy całkowicie odcięci od świata, nie słuchaliśmy radia, nic. Byliśmy ludźmi spisanyimi ~~na~~ "na ubytek".

Czasem w święta w kilku Polaków siadaliśmy razem i wspominaliśmy rodziny. Nie śpiewaliśmy kolęd. Kobiety bardziej obchodziły święta. Mężczyźni byli bardziej otepiali. Wydawało by się, że mę-

żczyzna jest silniejszy i odporniejszy. A tu wręcz przeciwnie - to kobieta była odporniejsza, lepsza w pracy i bardziej wytrzymała na głód. Jeśli ktoś się załamał, to właśnie mężczyzna. Bardzo dużo dlatego umierało. Kobiety nie, nie było wypadku, żeby umierały z wycieńczenia. Kobiety wyrabiały z reguły wyższą normę niż mę żczyźni.

Byłem stróżem w baraku, ale miałem normę chleba 600 gram. Gdy poczułem się lepiej, powiedziałem, że chcę iść do roboty - tu więcej się zmęczone, nie dosypiam. Przenieśli nas, bo wywózka się skończyła, znowu do wyrębu lasu. Początkowo pracowałem z chłopcem dwa, trzy lata młodszym ode mnie. Miał dwa zabójstwa na sumieniu. Pracowaliśmy razem przez dwa tygodnie. Jednego dnia podostrzyłem siekiere i mówię: "Już ostatni dzień idę do roboty". Położyłem środkowy palec na pień i odciąłem kawałek. Alarm podnieśliśmy, że wypadek, ale nie uwierzyli, że nie zrobiłem tego ~~na~~ umyślnie. Dostałem dodatkowy wyrok 5 lat za samokaleczenie.

Różne były przyczyny samookaleczania się więźniów. Głównie żeby nie iść do pracy. Ale był też przypadek, że jeden więzień z głodu odrębał sobie cztery palce, igołował i zjadł. Okaleczali się też złamani psychicznie, z domu przychodziły złe wiadomości, różnie.

Gdy ten chłopak miał zwolnienie, musiałem z kimś pracować. Była tam taka starsza kobieta, nie wiem dlaczego została sama. Stwierdziłem, że z kobietą lepiej wytrzymam. A okazało się, że potrafiła tyle zrobić, że dwóch mężczyzn tyle nie spiłowało. Nie mogłem nadażyć pociąć gałęzi i spalić. Trwało to cztery, pięć i dni i mówię brygadziście, że nie dam rady. To była Rosjanka około pięćdziesięcioletnia. Jak stanęła przy sośnie, to nie odgięła się, póki drzewa nie zwały. Była już 10 lat w obozie.

Wyrok 5 lat to był dziecięcy wyrok. Prawdziwy wyrok to 15,

20, 25 lat. I dużo więźniów siedziało bez wyroków. Tak jak Polacy. Choćby ci wzię ci w 1939 i 1940 roku, pracujący tam przy budowie kolei. Części udało się wydostać do armii Andrsa, ale bardzo dużo zginęło, nieprzyzwyczajeni. Pracownicy umysłowi, którzy nigdy przedtem siekiery w ręku nie mieli. Padali jak muchy. Najlepszy dowód to te cmentarze, które potem oglądałem - leżało tam po 5 - 6 tysięcy ludzi. Co prawda tę kolej budowali nie tylko Polacy, zaczęli ją budować Rosjanie w 1937 roku. Polacy dopiero w 1939 roku - policjanci, pracownicy państwowi, nauczyciele, dużo leśników. Rodziny na zesłaniu, a mężczyźni w obozach. Miejscowi twierdzili, że zginęło dwa razy tyle ludzi ile jest podkładów kolejowych.

Ale w obozie były wszystkie narodowości - około 50% stanowili więźniowie polityczni. Bardzo dużo było Gruzinów, Ormian, Tatarów. Dużo z terenów Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii. Żydzi też byli - jak gdzieś był punkt sanitarny, to sanitariuszem był Żyd. Czy w magazynie - wykręcali się od fizycznej roboty. Głównie byli to rosyjscy Żydzi, chociaż z Polski też się trafiali - ci co należeli do organizacji syjonistycznej. Przeważnie bogaci. Chyba że kryminalista.

W oddziale 21A były też kobiety. Nie były lubiane. Ich sposób zachowania się był bardzo ordynarny. Między sobą żyły nieprzyjaźnie, kradły sobie łaszki i na tym tle dochodziło do bójek. Kiedyś byliśmy świadkami strasznej bójki między dwoma kobietami w baraku obok. Jedna drugą biła bez litości kijem. Reszta się nie wtrącała. Czasem biły się o mężczyzn. Niektóre dzieliły swoje racje i podkarmiały mężczyzn. Byli to przeważnie brygadziści, ci pracujący tylko z nazwy byli dla nich mężczyznami. Mówiły o nas "da chadiagi".

Jak pracowałem w stóźówce, co noc przychodziła do brygadzisty

jedna konieta. Była z nowego konwoju, jeszcze nie zniszczona. Przeszkadzała mi w drzemce. Któregoś dnia nie chciałem jej wpuścić do baraku - wyzwala mnie od "dachadiagi", mówi: "Ty fitil (totaki knot), jak ci usiądę na twarz i cię natrę, to ci się odechce ze mną zaczynać".

Kobiety były ~~bardzo aktywne~~ bardziej aktywne. To one prowokowały. Kiedyś rozdzielili kobiety od mężczyzn. Kobiety stały przy strażnicy z kijami, tłukły po siatce i domagały się przywrócenia wspólnego bozu. Nawet obiecywały podwyższyć normę. Mężczyźni byli bardziej potulni.

Jeśli spotkali mężczyznę u kobiety, to mężczyźni nic nie robili, a kobietę do karceru na trzy dni. Podobnie jeśli spotkali kobietę u mężczyzny. Zawsze kobieta szła do karceru. Jak kobieta za chodziła w ciążę, to zwalniali ją z pbozu. Odsyłali do szpitala na trzy, cztery miesiące aż dziecko podrosło, potem dziecko do ochronki, a kobieta wracała do ~~obozu~~ obozu. Kobiety żyły w większej grupie, nie przenoszono ich tak często jak mężczyzn. Między mężczyznami nie tworzyły się "takie" przyjaźnie, o kobietach nie wiem.

Na wyrębie lasu pracowałem od października do marca, na oddziałach 21, 21A, 9 i 11. Przeziębilem się. Najbardziej wykańczała na s droga - osiem kilometrów po śniegu. Wyżywienie było słabe. Na wyrębie można było palić ogniska. Śnieg na ubraniach tajał. Potem w czasie drogi znowu zamarzał. Dostałem zapalenia opłucnej. Nie mogłem zejść z nar, tak byłem osłabiony. Zostawałem samowolnie w ba raku, w końcu doszli do w niosku, że nie symuluję. Zabrali mnie na 21 oddział, tam była przychodnia - mały barak, około 20 chorych. Sanitariuszem był Kawkaradze, mówił, że jest kolegą Stalinga z dzieciństwa i siedzi w obozie, bo Stalina za dobrze zna. Był tam też oficer armii Czang-Kaj-Czeka, Chińczyk.

Ponieważ znałem trochę język rosyjski, brali mnie do pracy do biura. Sprawdzałem kartoteki materiałowe i inne. Tak przez sześć dni. Nie mogłem się już poruszać. Przepisali mi biały ~~sk~~ chleb, bo czarny już nie smakował. Nie mogłem już jeść, wszystko było słodkie, jedynie ryba mi smakowała, bo była słona. Ten Chińczyk, choć tak samo wycieńczony, widząc, że tylko rybę jem, oddawał mi racje swojej ryby. Słabo mówił po rosyjsku. Nie wiem jak trafił do obozu. Chińczyków było zresztą w obozie dużo.

Po paru dniach zabrali nas po szesciu na saniach - trzech na górze i trzech na dole, jednego na drugim. Do szpitala. Przywieźli nas półżywych. Barak szpitalny był lepszy: na pryczach leżały sienniki i kocce koce do przykrycia. Położyli mnie koło pieca. Ubikacje były w baraku, w każdym baraku była też pielęgniarka. Dostaliśmy bieliznę. Naszym ~~lekarz~~ lekarzem był Łotysz. Myślę, że zlitował się nade mną, że jestem taki młody, do takiego stopnia wyniszczony - przepisał mi litr mleka krowiego dziennie.

Ze wszystkich baraków szpitalnych przychodzili patrzeć i każdy pytał, co ty jesteś za jeden. Starzy więźniowie mówili, że od dwudziestu lat nie widzieli, żeby ~~któ~~ ktoś szklanek mleka dostał. Dzięki tej kuracji zacząłem wracać do zdrowia.

Na pisałem do znajomych, państwa Grochów z Próżany. Przyniesli mi paczkę żywnościową, potem drugą. Dzieliłem się z Chińczykiem. Jak byłem w szpitalu, dostałem cztery paczki. Jeść dostawaliśmy trzy razy dziennie. Przeleżałem marzec, kwiecień. W maju pomalutko zaczęliśmy wychodzić na dwór. Zaraz obok był barak pielęgniarek. Kiedyś przysiadły się dwie na ławkę. Jedna Węgierka i jedna Polka. Rozmawiamy skąd jesteśmy, mówię, że z Próżany. Ona ta ka zdziwiona mówi, że w Próżanie chodziła do

gimnazjum. Okazało się, że to była sympatia mojego kolegi ze szkoły. Tak się zmieniliśmy oboje, że nie mogliśmy się poznać. Na zywala się Lenka Godzinówna. Spotykaliśmy się póki byłem w szpitalu. Pocieszaliśmy się nawzajem. Wciąż nie traciłem nadziei, że wyjdę z obozu i spotkam się z rodziną.

W czerwcu zacząłem pracować w gospodarstwie szpitalnym. Znow miałem kontakt z warzywami. Norma była zbiorowa, praca lżejsza, wyrzywienie lepsze.

Zacząłem rzeźbić w kości z rogów. Dostawałem małe paczki, 4 kilogramy, co to było - zdaje się, że większych nie wolno było wysyłać. Byłem młody, organizm potrzebował wyżywienia. Robiłem więc krzyżyki, potem rozmaite broszki i handlowałem za chleb. Głównie kobiety kupowały krzyżyki. Ale w końcu też się to skończyło.

Kończyła się jesień i prace polowe. Wybieranie kartofli też. Niektórzy jedli surowe ziemniaki, ja n e mogłem. Potem wybieraliśmy marchewkę. Też jej za dużo nie można było zjeść, tak samo buraki, bo dostawało się biegunki. Zebrała się komisja i tradycyjnie - badanie. Spodnie spuścić i na pośladki patrzyli. Jestem zdolny do pracy fizycznej.

Wysłali nas pod kotłas i tam ~~pa~~ycowałem przy budowie DEPO - zajezdni parowozów - i przy ujęciu wody. W lasach budowali jakąś ogromną fabrykę i potrzebowali wody. Robiliśmy ujęcie wody. Tam przebywałem raz na 1 oddziale, raz na 3. Byli tam wykwalifikowani pracownicy, inżynierowie z wyższym wykształceniem. Mieliśmy tu lepsze wyżywienie - dużo kaszy. Mieliśmy miski i łyżki. Chleba pod dostatkiem. Baraki czystsutkie, niedużo nas w nich było po jednej brygadzie w baraku. P rzestrzenne. Mnie się to podobało. Praca też nie była ciężka. Przerzucali nas w zależności od nasilenia robót do ujęcia wody albo do parowozowni. Przywozili

pia sek, ziemię, a myśmy podwyższali teren, bo był dosyć niski. Kierownik robót był bardzo dobry. Zawsze mówił: "Chłopcy, ja ~~wam~~ dam najwyższe normy, jak przyjdą wagony raz dwa rozładować, bo przestoje bardzo dużo kosztują. Pracowaliśmy chętnie.

Przywieźli cały transport Litwinów. Dwa wagony. To był październik 1946 roku. Wcześniej, jak byłem na wyrębie lasu, przywieźli Łotyszy wojskowych, oficerów. Byli krótko - tydzień, dwa i gdzieś ich da lej wywieźli.

Będąc w tym obozie zetknąłem się z synem Mołotowa, Michajłowem, studentem, i bratem żony Stalina. Syn Mołotowa pracował fizycznie, natomiast brat żony Stalina był w zespole artystycznym, trochę śpiewał na występach poza obozem dla miejscowej ludności. Był przystojny, podobał się kobietom. Rosjanki go wykra da ły na występach. Ginał na trzy dni - szukali go, kobiety ze stra ży go gdzieś przechowywały. Michajłow natomiast był niedostę pny, z nikim nie rozmawia ł. Mówił, że jedynym jego marzeniem jest wyjść i własnymi rękami udusić Mołotowa. Za co siedział nie wiem.

Takich co wcześniej zajmowali wysokie stanowiska dużo było w obozach. Tych na bardzo wysokich stanowiskach to oni rozstrzeliwali, ministrów i innych. Ci co siedzieli, mieli takie wyroki, że nie wiedzieli, czy wyrok jest ostateczny, czy jeszcze przedłużą. Bo za byle co przedłużali. Za próbę ucieczki, za propaganda antysowiecką, której się we wszystkim dopatrywali.

Książek nie było. Jak ktoś przynosił, to więźniowie-palacze za bierali, bo nie było papieru do palenia. Jak ktoś przyszedł w bucikach z obcasami z tekturą, to obcasy poodrywali, tekturkę porozdzielali na cienkie paski i palili. Zapałek nie było. A le były sposoby. Z krzesiwem x. Albo wrywali watę z watówki, tylko musiała być czysta, i skręcali, jeden w jedną stronę, dru-

gą i ślinili i na deszczółce szybko kulali a wata się w środku zapa lała.

Igły nie wolno było mieć, a le odzież trzeba było naprawiać, bo wiosną i jesienią tylko wymieniali. Paczki były obszywane w płótno, z tego płótna wyciągało się nici. Igły robiło się z cienkiego drutu, podobnie noże z blaszek. Z łyżką nikt się nie rozstawał. No i ołówek Papier, jak ktoś miał, to ukradli. Chętnie się szło na rozładunek cementu - worki z cementem są potrójne. Pierwszą warstwę się zrywało i miałeś już papier do pisania. Kiedyś napisałem list na korze brzozonej. Wtedy już wolno było pisać, ale jak oni często je wysyłali, nie wiem. Miejscowa ludność też żyła bardzo biednie. Zimą nie mieli co jeść, przymiera li głodem. Jedli korę z sosny, troszkę siekali i gotowa li.

Do końca października byłem w Kotłasie. Potem zostałem przewieziony z powrotem do Kniażpowoscia. Któregoś dnia naradczyk przyszedł z rana i mówi, że zostaję w obozie. Trochę się zmartwiłem, czyżby mnie chcieli gdzieś do cięższych robót? Jak kogoś chcieli zmartwić, to mówili, że pojedzie do kamieniołomów. Przyszedł obiad, pracującym w obozie dawali jeść trzy razy dziennie, poszedłem do kuchni, nic, nie ma mnie. Nie wydali. Wieczorem nasi wrócili z roboty, dziwią się, że ja jeszcze tu jestem. Taki starszy człowiek mówi, że z obozu mnie zwolnią, ale bez wyjazdu. Miałem trzy ziemniaki wcześniej kupione, ugotowałem je na kola cje. Przysiadł się do mnie. Żal mi się go zrobiło, dałem mu jeden ziemniak.

Oka zało się, że na drugi dzień mieli mnie wsadzić do pociągu. Chodziły takie wagony "stołypińskie", przystosowane do przewożenia więźniów. Masywne, zakratowane wagony. W środku były przedziały, każdy na sześć osób. Takiego wagonu w składzie nie

było. Przenocowałem. Następnego dnia pojechałem na północ. Powiedzieli mi, że jestem zwolniony z obozu, tylko muszę się jeszcze stawić w Zarządzie Obozów w Książpowszczyźnie po dokumenty. Wychodząc, na strażnicy pytam za co ja byłem w obozie. Odpowiedź brzmiała krótko: "Idź, nie pytaj, bo się dowiesz.". Przywieźli mnie do Książpowszczyzny.

Dali mi śniadanie. Siedziały tam pridurki (uprzywilejowani). Spotkałem tam znajomego z Brzeźnicy, Kuryłowicza. Był tam księgowym. Dał mi kilka talonów na śniadanie. Obruciłem kilka razy w kolejce. Zjadłem, ale dla mnie to było jeszcze za mało. Z boku na okienku leżały talony - ukradłem kilka. Wydawało mi się, że kucharka się zorientowała, ale udawała, że nie widzi.

Dali mi 200 gram rybki i 300 gram chleba. Upomniałem się o bieliznę, ale powiedzieli, że trzeba było w obozie. Zona strażnika zaprowadziła mnie na dyżurkę milicji ~~przez korytarz~~ do miasta. Nikt się mną nie zajmował. Przyprawiali jeszcze jednego, tzw. spekulanta - handlował pieczonymi przez siebie ciastkami i pewno sprzedawał bez zezwolenia. Siedzieliśmy koło siebie, trochę szeptaaliśmy, ciągle mi dawał te ciastka. Chodziło mu o to, żeby ich mieć jak najmniej, żeby mu jak najmniejsze przestępstwo przypisali. Korzystałem oczywiście z tego. W końcu dyżurny zwrócił na niego uwagę i zaczął krzyczeć. Zabrali go na przesłuchanie.

A ja siedzę. Dziesięć godzin, już wieczór, a ja siedzę. Dyżurni się zmienili - pytam co ze mną, siedzę tu, nikt się mną nie zajmuje. A on mówi: "To czego tu siedzisz, możesz sobie iść. Przecież ja cię nie pilnuję". - ~~Waga~~ "A gdzie mam iść, przecież wyszedłem z obozu, nie mam ani dokumentów, ani ubrania, taki wygląd, że od razu podpadnę i ci co wykapują zbiegów od razu mnie złapią i będą maltretować, żeby się przyznać, z jakiego obozu

uciekłem!" A strażnik mówi na to: "Siedź, zaraz przyjdzie na przesłuchanie naczelnik". Zjawił się major UB, zaczął wypytywać. Nim do sprawy doszliśmy cały życiorys kazał mi opowiedzieć. I znowu: "Idź, my nic do ciebie nie mamy". Więc i ja znowu: "W takim stanie, bez dokumentów nigdzie nie pójdą". Kazał mi iść do domu dla bezdomnych, za rzekę, tam przenocować a rano zgłosić się u nich znowu, to się mną zajmą. Dał mi zaświadczenie, że jestem zwolniony z obozu. Rano wydali mi zaświadczenie z pieczętka mi i kazali szukać pracy. Jestem zwolniony z obozu i jestem zesłańcem. Mam przebywać na terenie Kniaźpowościa prze 5 lat, licząc czas spędzony w obozie. Ale za co zostałem skazany, nie powiedzieli mi.

Był październik 1946 roku. W domu dla bezdomnych spotkałem dwóch starych Polaków. Byli tak jak ja wypuszczeni z obozu. Żyli tu już tydzień chodząc żebrac. Rąbali też drzewo, odgarniali śnieg, żeby zdobyć coś do jedzenia. Wybraliśmy się do miasta na rynek. Rynek to punkt, gdzie się wszyscy spotykają. Przypomniałem sobie, że mam przecież na koncie 2 tysiące rubli, których mi dotąd nie wypłacili. Pochodziłem po domach, w jednym, porządni ludzie, coś mi tam kazali zrobić, nakarmili. Przenocowałem znowu w tym baraku. Rano się budzę, ruch w baraku niesamowity. Jakieś kobiety. To były Niemki wywiezione na roboty. Zatrzymały się tam na noc.

Znowu poszedłem na rynek. Chodzę i myślę, trzeba coś zrobić, żeby się do obozu znów dostać. Tam chociaż człowiek ma dach nad głową i dwa razy dziennie coś ciepłego, a tu nic. Ktoś się odezwał do mnie po polsku - Polka, pani Szumska. Pochodziła z Mińska. Przyjechała do męża. Mąż siedział 15 lat w więzieniu i dostał zesłanie. Przyjechała więc do niego z dziećmi i razem mieszkali. Wypytywała mnie, co robię. Dała mi 20 dkg chleba - na rynku

sprzedawała chleb. Głupio było brać, ale głód wszystko przemógł. Mówi, że jej mąż pracuje w fabryce wojskowej, "Zapytam, może będzie cię tam mógł urządzić". Kazała mi przyjść następnego dnia. Z jeszcze jednym poszliśmy gdzieś napiłować drzewa, zarobiliśmy na obiad. Na drugi dzień pani Szumska mówi mi, że przykro jej a le w tej fabryce nie mogę być zatrudniony, bo jestem polityczny, a oni politycznych nie przyjmują. Ale ma jedno miejsce, mam się zgłosić po dwóch dniach. Dorabiałem gdzieś na obiad, raz dziennie jadłem.

W międzyczasie poszedłem do Zarządu Obozów, do księgowości, mówię, że mam pieniądze na koncie, które mi się należą. Był tam taki Żyd i mówi, że spróbuje załatwić, ale to będzie kosztować. Rzeczywiście, gdzieś je telegraficznie odszukał. Na drugi dzień miałem pieniądze, coś mu odpaliłem.

Po dwóch dniach zgłosiłem się na rynku. Pani Szumska kazała mi się zgłosić na kolej, "Będzie tam dyrektor odcinka łączności i sygnalizacji, on już będzie wiedział".

Po drodze zaszedłem do fotografa. Chciałem zrobić pamiątkowe zdjęcie. Czapka na uszy głęboko nasunięta, policzki zapadnięte, oczy zapadnięte - półszkielet. Kurtka długa, poła na połę zawinięta, sznurem pięć czy sześć razy obwiązana, łapcie. Czekałem chwilę i myślę, co ja robię! Przyszedłem na UB, żeby mnie znowu za mknęli! Przecież to antysowiecka propaganda takie zdjęcie. Zrezygnowałem. Zrobiłem tylko takie malutkie do legitymacji.

Przyszedłem do dyrektora na kolei. Zameldowałem się, ten popatrzył na mnie od stóp do głów, widzi, nędza taka stoi. Wypytał mnie, skąd. Dał karteczkę do magazynierki na robocze ubranie. Potem ubranie kolejowe. Cały miesiąc tam siedziałem, nic nie robiłem. Kazał mi odpoczywać. Byłem przydzielony do kolumny remontowej. Spałem razem ze stróżem, w pokoju miałem sinnik za

szafami, koc. Potem mieszkałem w wagonie kolejowym. Zacząłem oszczędzać pieniądze. Dostałem kartki żywnościowe, pomału przyszedłem do siebie. Przyszła wiosna, kupiłem sobie ubranie, buty.

W kwietniu dyrektor wysłał mnie z jeszcze jednym po ziemniakach dla pracowników. Miesiąc cały jechaliśmy po te ziemniaki. W miejscowości Bielsk nakupiliśmy, w części naszabrowaliśmy do sprzedaży.

Dostałem pokój w hotelu robotniczym. Mieszkałem z miejscowym Saszą. Znowu kupiłem na rynku ubranie, koszule. Na obiady chodziłem do restauracji, kelnerami byli tam więźniowie. Byli bardzo grzeczni. To była dla nich bardzo dobra praca.

Cały czas poruszałem się swobodnie. Miałem co prawda zastrzeżone, że mogę się poruszać tylko po rejonie Książpowszczyzny, a le tego nie przestrzegałem. Początkowo meldowałem się co dwa tygodnie. Raz zlekceważyłem, drugi raz nie poszedłem. Nikt mnie nie szukał. Przeszło pół roku i mnie wezwali na NGB. Tam od razu taki się na mnie rzucił. "Ja ci pokażę, co ty sobie myślisz! Dla czego się nie meldowałeś! Nie chcesz na zesłanie, wrócisz do obozu!" - Ja mówię: "Dobrze, zgadzam się, że się nie meldowałem pół roku, ale gdzieś ty byłeś? Za co żeś pieniądze brał? Twoim obowiązkiem było już po pierwszym moim niezameldowaniu się odszukać mnie i ukarać. Jak będziemy siedzieć, to razem. Ja za to, że się nie meldowałem, a ty za to, że mnie w tym czasie nie szukałeś". O "O!" - mówi - "ty takoj a takoj, bardzo mądry jesteś!", ale widzi, że mnie nie nastraszy i odstęplował wstecznie wszystkie daty co dwa tygodnie.

Byłem wtedy monterem na centrali. Ale właściwie, jak ktoś zachorował, to zawsze zastępowałem. Albo jak miał urlop. Roboty specjalnie nie było. System był kartkowy - z rana idziesz na śniadanie, kolejki duże, mijały ~~dwie~~ przeszło dwie godziny zanim

zja dłeś. Na obiad znowu szedłeś wcześniej, dyscyplina była bardzo słaba. Ludzie w stosunku do mnie dobrze się odnosili. Wyrobiłem sobie markę uczciwego, porządnego. Wszyscy mnie lubili, starałem się z nikim w zatargi nie wchodzić, zwłaszcza że nie miałem, o co się kłócić. Pracę miałem lekką. Nie mogę do tych ludzi mieć żalu, nikt mi krzywdy nie zrobił.

Wieczory były długie, często chodziliśmy do kina, nie było co robić. Był tam klub, można było herbatę wypić, potańczyć. Jak się nie odzywałem, Rosjanki myślały, że jestem Rosjaninem. Jak się odezwałem, trochę ode mnie stroniły. To były przeważnie dzieci ubowców. Utrzymywałem kontakt z panią Szumską.

Któregoś dnia nie poszedłem na kolację, siedziałem w pokoju, robiłem herbatę - ktoś puka, wchodzi dyrektor. Rozsiadł się, pyta, czy jestem wierzący. "Teraz będziecie mieli duże święto - mówi - Wielkanoc." Pyta, kiedy. Specjalnie nie umiałem mu odpowiedzieć, to ruchome święto, nie umiałem obliczyć. Powiedziałem mi mniej więcej. Po dwóch tygodniach niesamowita awantura - nasadł na mnie: "Co ty za wirzący jesteś, tylko udajesz!". Wyszedłem i pytam zastępcy, co się stało, nigdy na mnie tak nie naskakiwał. A on mówi; ~~że~~ "Wiesz coś ty zrpbił? Jego żona chciała na święta do domu pojechać, pojechała i przyjechała już po świętach. Więc nasadła na niego". Jego żona była Polką spod Połocka. Ale dyrektor w dalszym ciągu był do mnie dobrze ustosunkowany.

Cały czas myślałem o powrocie do Polski. Jak tylko wyszedłem z obozu wszcząłem stara nia o powrót. Napisałem list do rodziny, żeby też się starali.

O Polsce wiedziałem niewiele, trochę z listów, przypuszczałem, że Polska jest krajem niezależnym, nie takim, jakim go zastałem ~~po~~ powrocie.. Gazet radzieckich nie czytałem.

Na poczcie pracował ksiądz Kasperowicz. Odsiedział 15 lat

w obozie, potem był na zesłaniu. Zaprzyjaźniliśmy się. Pochodził z Białorusi, parfię miał pod Berezyną. Po rewolucji przyjechał do Polski, potem wrócił do parafian i po raz drugi do Polski nie zdążył wyjechać. Potem razem zostaliśmy przesiedleńcy do Kazachstanu i tam zmarł.

W sierpniu 1948 roku wezwali mnie do UB i powiedzieli, że muszę wyjechać do Kazachstanu. Wszystkich zesłańców przesiedlali. Powiedziałem o tym dyrektorowi, starał się, żebym mógł zostać, ale nie nie wskórał. Wyposażył mnie w pieniądze, około 5 tysięcy rubli, bezpłatny bilet. Jechałem do północnego Kazachstanu, do Pietropawłowska. Jechałem chyba dwa tygodnie. Gdy nie miało się miejscówki, trzeba było po dwa, trzy dni czekać we wszystkich większych miastach.

Przyjechałem na początku września. Zgłosiłem się na kolei. Z tamtej pracy dostałem zaświadczenie z dobrą opinią. Oni bardzo chętnie, ale muszę mieć zezwolenie UB. Poszedłem na UB. Za żadne skarby nie wydadzą zezwolenia, tylko do sowchozu. Przeczekałem dwa, trzy dni, przyjechał samochód, zebrałiśmy się. Był jeden Litwin, Polka z Lidy - Stasia Miklaszewska, dwie Litwinki, starsza Polka, jedna Rosjanka, która wyszła w czasie wojny za Anglika z misji handlowej, on wyjechał, a ona na zesłanie. Był też mój zaprzyjaźniony ksiądz, dentysta Gauz z Brześcia, jeden Żyd, który jak powstało państwo Izrael nadał depeszę gratulacyjną do rządu izraelskiego, posadzili go za to. W sumie było nas ze dwadzieścia osób. Ksiądz, Rosjanka i Żyd zostali po drodze na stacji Gułajewo, a my pojechaliśmy do majątku. Majątek był nieduży - 52 tysiące ornej ziemi i 300 hektarów ugoru.

Tam też miałem szczęście w nieszczęściu. Majątek, do którego trafiłem, miał dyrektora Rosjanina z Odessy, natomiast eko-

nomem był w nim niejaki Krawiakowski. Pochodził z rodziny starych zesłańców. Był tam też kowal Zabłocki, z zesłańców jeszcze carskich. Mówił o sobie, że nie wie, kim jest - jego dziad był ^{on} zesłańcem. Języka nie znał, tylko nazwisko zostało. Dużo tam było rodzin jeszcze carskich zesłańców.

Dużo w majątku nie zarabiałem, ale starczało mi na życie. Ze wszystkimi żyłem w zgodzie. Tu też mieliśmy obowiązek meldowania się, ale to ubowiec, ~~przyjeźdźca~~ Rosjanin, przyjeżdżał do nas do majątku. Mimo że młody, był grzeczny, uprzejmy. ~~Zawsze~~ Wysłuchiwał za wsze, jak się z nami obchodzą, czy mamy do dyrekcji majątku jakieś żale.

Przez pierwszy miesiąc po przyjeździe, nie pracowałem. Już się trochę nauczyłem, jak kombinować, żeby nie robić. Ubowiec pytał mnie, czy mam środki do życia - "Bo jak ci roboty nie znajdują, to mogę cię zabrać do kopalni złota do Semipałatyziska, tam dobrze zarabiają, płacą złotymi bonami, są kantyny, wszystko tam dostaniesz za te bony". Ale po miesiącu na nasz oddział majątku przyjechał dyrektor i kazał mi jechać z sobą. Dostałem pracę w radiowęźle i telefonach. Znowu w gruncie rzeczy nic nie robiłem. W radiowęźle włączałem odbiornik o określonej godzinie i o określonej wyłączałem. A telefony - w ogóle nie pracowały. Jedna przewodówka była i ziemia. Linia wiecznie pozrywana, słupy leżały na ziemi. W końcu było mi głupio, poszedłem do dyrektora i mówię: "Panie dyrektorze, daj pan dwóch ludzi, to tę linię naprawię . On słucha i: "A ty co, roboty szukasz?!"

Zsyłka kończyła mi się 29 grudnia. Dostałem zaświadczenie na dowód osobisty, właściwie paszport, który musiałem w ciągu dwóch tygodni ~~zrobić~~ wyrobić. Gdybym nie wyrobił, byłbym karany do 5 lat. Paszport na obywatelstwo rosyjskie. Co miałem robić? Jeszcze gdy byłem w Kniaźpowośćiu, nawiązałem kontakt z polskim

konsulatem. Miałem założone akta, ale odpowiedzieli mi tylko, że moja sprawa jest w toku załatwiania. Wyjechać bez paszportu nigdzie bym nie mógł. Dłużej niż dwa tygodnie czekać nie mogłem. P ojadę , pomyślałem, do Próżany, tam lżej będzie o jakieś dane. Zresztą ten ubowiec powiedział mi: "Broń Boże nie daj się namówić i dobrowolnie nie zostawaj. Dwadzieścia przeszkód będą znajdować, nie wydostaniesz się. Wyjeżdżaj, póki możesz." Wszyscy mi tak radzili.

W styczniu 1950 roku załadowałem się na traktor, przejechałem 80 kilometrów do stacji Gułajewo, tam w pociąg i do Próżany.

Dopiero gdy dostałem zaświadczenie o zesłaniu, dowiedziałem się za co - jaki paragraf dostałem i na ile lat. Paragraf 53a, na 5 latx zesłania, o obozie nic ~~nix~~ w zaświadczeniu nie wspomiano. Zaświadczenie wydawali tylko po to, żeby mi wydano paszport, ale Rosjanka, u której paszport odbierałem, kazała mi zaświadczenie zatrzymać "Schowaj, jeszcze może się przydać".

Po drodze zatrzymałem się w Mińsku. W Moskwie mieliśmy przeładunek. Jechałem ze Stasią Miklaszewską. Mówię do Stasi: "Idziemy do ambasady polskiej, zapytamy, co dalej mamy robić". Weszliśmy ~~tam~~ tam, sekretarka pyta, w jakiej sprawie, w sprawie wyjazdu do Polski. "Jaki pan ma paszport?" - "Radziecki." - "O to już do nas nie należy, jest pan obywatelem radzieckim." - "Jestem, bo musiałem, bo inaczej bym tu nie przyjechał. Proszę moje akta wyciągnąć." Ona na to, że są bezradni, po co obywatelstwo przyjmowałem. "Najwyżej możemy panu 300 zł. zapomogi wypłacić." Mówię, że n e przyszedłem po zapomogę, byłem żebrakiem, ale w tej chwili nie jestem. Zabrałem się i poszedłem.

Na stacji proszę bitel do Próżany, kasjerka prosi o paszport i z paszportem do UR. Przyszedł ubowiec i mówi: "Ja was areztuję, przekroczyliście czas pobytu w Moskwie, wolno wam było

tylko 24 godziny. Mówię, że wcześniej nie mogliśmy wyjechać. Sprawdził na rozkładzie, wrócił niezadowolony i kazał nam zaraz wyjeżdżać. Okazało się, że dali znać z konsulatu, że taki a taki przyjdzie, jeśli jest możliwość to go przetrzymać. W paszporcie miałem paragraf 31. Oznaczało to, że nie mogę zamieszkiwać w stolicach republik, w miastach gierojów, w pasie nadgranicznym.

Przyjechałem do Próżany. Zatrzymałem się u staruszków kolejarzy, mieli własny domek.

Poszedłem się meldować Oczywiście paszport. U nich jest taka zasada, że gdzie nie przyjdiesz, musisz życiorys napisać. Napisałem życiorys. Skierowali mnie do naczelnika miasta. Tam usłyszałem, że chętnie by mnie zameldowała, ale z moim paszportem muszę mieć zgodę UB. Poszedłem na UB, melduję się. Popatrzył na mnie, nazwisko. ♣ "To ty jesteś Smolski, już ja wiem, kto ty jesteś. Czemu tu przyjechałeś?" - "Stąd zostałem zabrany. Tu bliżej granicy. A w razie jakichś dokumentów, mam tu na miejscu świadków, nie potrzebuję jeździć, szukać." A on na to: "Aczy tylko dlatego, czy ciebie czasem Renia Wrózbicka nie sprowadziła?" Renia była Polką, która została w Próżanie, korespondowałem z nią, raz mi przysłała paczkę. Wynikało z tego, że wszystkie moje listy były cenzurowane. I on doskonale wiedział, co i jak. Myślę, że celowo mi to powiedział, żeby dać mi do zrozumienia, że wszystko ~~wiedziak~~ wiedzą.

Nie miałem książeczki wojskowej. Byłem w ewidencji w komendzie, ale po pięciu latach wszystkie te akta zostały zniszczone. Moich nie mogli odtworzyć. Z drugiej strony do pracy nie chcieli mnie przyjąć, bo obawiali się, że jestem dezserterem. Byłem między młotem a kowadłem. Poszedłem znowu na UB i mówię: "Słuchajcie, nie mogę u kogoś na darmowym chlebie siedzieć, chcę pracować."

wać". Sprawa ciągnęła się dwa miesiące.

W międzyczasie skontaktowałem się z rodziną w Warszawie, gałem znać, że jestem w Próżanie i proszę o wysłanie dokumentów. Jednego razu przychodzę do UB, w sprawie tej książeczki, a on mi przerwał: "A dokumenty już masz?". - "Jakie dokumenty?" - "Te od rodziny. Nie dostałeś dokumentów?" Drugi raz się zdradziłem, Oni mieli u siebie te dokumenty i zdali na pocztę. Brat napisał, że wysłali mi dokumenty, ja mu telegraficznie nadałem, żeby zrobił to jeszcze raz, bo widocznie podrodze zagięły, a to oni je trzymali.

W końcu wydali mi książeczkę. Zacząłem pracować w biurze inwentaryzacyjnym miast i osiedli. Robota mi się podobała. Naczelnikiem był Rosjanin, z zawodu prawnik. Próżana zmieniła się. Polaków bardzo mało zostało, część Żydów i Białorusinów, reszta nypływowi Rosjanie. Nazwy ulic Rosyjskie. Kościół zamienili na dom kultury. Ołtarz rozebrali i wystawili naprzeciw domu partii z ta blicą przodowników. Jak starsze kobiety przechodziły, to klękały i modliły się. W końcu musieli to rozebrać.

Zastałem trochę znajomych, Białorusinów. Mieszkałem w Próżanie do maja 1951 roku. Rok musiałem czekać na dokumenty. Metrykę urodzenia musiałem wyrabiać przez lekarzy. Parę dni przed wyjazdem, dostałem na delgacji telegram od gospodarza, że są dokumenty.

Pojechałem do Brześcia, urzędniczka wydała mi dokumenty i powiedziała, że jest pożądane, żebym opuścił teren Związku Radzieckiego w ciągu trzech dni. Jestem niemiłe widziany. Oczywiście dostałem nie polskie dokumenty, tylko paszport zagraniczny. Potem, tu w Polsce do 1956 roku byłem na paszporcie konsularnym, ponieważ przyjechałem na starania indywidualne, jako obywatel radziecki. Repatriacja była już zakończona, tylko w wyjątkowych

wypadkach puszczali.

Po przyjeździe byłem w konsulacie w Warszawie, potem w Szczecinie. Przedtawiłem swoją sprawę. Konsul, był Gruzinem, wydał mi ankiety, ale wyszedł potem do mnie: "Ja wam nie radzę, bo w Moskwie będą niezadowoleni!" Dał mi do zrozumienia, że mogą mnie wywieźć z powrotem do Rosji. Przecież Polaków wywozili. W Brześciu przed odjazdem do Polski spotkałem na dworcu około trzystu Polaków otoczonych kordonem ubowców, wywozili ich z Polski do Związku Radzieckiego. Podobno masa takich transportów szła z Polski.

Po przyjeździe musiałem się zameldować na milicji, wypełnić ankietę, dla obcokrajowców. Napisałem w niej między innymi, że w czasie okupacji należałem do AK. Ten sekretarz w milicji mówił do mnie: "Coś ty zrobił, przecież będziesz miał anioła stróża, będą cię pilnowali." Wydał mi nową ankietę, przepisz i w ogóle nie wspominaj o tym.

Żeby uzyskać obywatelstwo polskie musiałem najpierw uzyskać zgodę Związku radzieckiego. Dopiero po dojściu Gomułki do władzy, podpisano konwencję między rządem polskim a radzieckim, na podsta wie której wydali mi dowód osobisty polski. Ale jeszcze przez ~~okres~~ półtora roku miałem paszport radziecki i podwójne obywatelstwo.

Nowy Tomyśl styczeń- luty 1990 rok

Wagrała i spisała
Barbara Fabiańska

Stanisław Smolski

(Jesień 1939, okupacja radziecka)

Powstały trzy średnie szkoły: polska niepełna szkoła średnia, białoruska dziesięciolatka i szkoła żydowska.

(...) Uczęszczałem do szkoły białoruskiej. Uczniami byli starzy koledzy z gimnazjum (przedwojenne gimnazjum w Próżanach), część tylko Rosjan i dwóch Żydów z Mińska, których ojcowie pracowali w komitecie partii. Żydami były obsadzone wszystkie stanowiska. Przede wszystkim szkolnictwo, wydział zdrowia, handel, no i partia.

Miejscowi Żydzi wydawali opinię - jeśli ktoś miał dobrą opinię, mógł spokojnie żyć. Jeśli przedtem miał zatargi z Żydami, to nies-
tety aresztowali i wywozili - całe rodziny przesiedlali. Jeden z Żydów, nie był takim zajdłym komunistą, powiedział do mojego ojca: "No, panie Smolski, może pan być spokojny. Myśmy wydali^o panu dobrą opinię".

Z Rosji przyjechała cała administracja. Żydzi mówili po rosyjsku, ale wymowa i wygląd ich zdradzały. W Próżanach przed wojną mieszkało 12 tysięcy ludzi - miejscowych Żydów było 6 tysięcy, 1/4 stanowili Białorusini i Rosjanie a 1/4 Polacy. Byli bogaci Żydzi i skrajnie biedni. Bogaci Żydzi nie popierali tak Rosjan jak biedota, potem byli na równi z Polakami wywożeni.

(...) Po ponownym wkroczeniu wojsk radzieckich (1944 r.), zdawaliś-
my sobie sprawę, że nas zabiorą do wojska. I rzeczywiście był pobór. Nie wiadomo było do jakiego wojska, nikt nie wiedział, czy do rosyjskiego czy do polskiego, ale wszyscy musieli się stawić. (...)

Żydzi wymigali się od wojska. Oczywiście, przede wszystkim mało ich zostało - ale część wróciła z partyzantki, część z Rosji, gdzie zdążyli uciec. Niektórzy wstąpili do milicji. Jednak co ważne, część Żydów już wiedziała, co to jest "raj bolszewicki".

(...) Widziałem jak Żyd, ubowiec, zrywał Zenkowi Karolko odznaczenia i dystynkcje, wyzywał go. Mnie to mocno przeraziło, dlaczego żołnierze

rza armii kościuszkowskiej pierwszy lepszy cywil może tak traktować?

(grudzień 1944 r., budynek Urzędu Bezpieczeństwa w Próżanach)

(...) W obozie było więzienie - dawano tam 300 g chleba i wodę.

Raz też dostałem się do więzienia. Spotkałem kolegę, Węgra, Szabo, chciał, żeby mu przynieść ziemniaki. Zaryzykowałem. Dopadła mnie konwojentka, Żydówka, i dostałem 3 dni ścisłego. Do więzienia przyprowadzali po pracy, na noc. (Majątek Nieżołus, osada Książpowoście - z zarządem obozu północnej kolei, pośrodku między Workutą i Kotłasem. 1945 r.)

(...) Magazynierem był Żyd - nie chciał przymykać oczu na wynoszenie przez nas żywności. Kiedy przyszedł pociąg - kilka wagonów do załadunku ziemniaków. Żeby dokuczyć magazynierowi załadowaliśmy bez wagi 5 ton ziemniaków. (Miejsce i czas jak wyżej.)

(...) Żydzi też byli - jak gdzieś był punkt sanitarny, to sanitariuszem był Żyd, czy w magazynie. Wykręcali się od fizycznej roboty.

T^o byli rosyjscy Żydzi. Z Polski też się trafiali - ci co należeli do organizacji syjonistycznej. Przeważnie byli to bogaci Żydzi. Chyba że kryminalista. (Obozy rejonu Pieczory - między Workutą i Kotłasem) po 1944 roku)